

„WSZYSTKO O MIESZKANIACH”

Co tydzień, łącznie z publikacjami na tematy mieszkaniowe zamieszczone będą w naszym tygodniku pytania konkursowe o podobnej problematyce.

Na pytania te należy odpowiedzieć, wypełniając zamieszczony obok kupon.

Wypełnione kupony konkursowe należy przesłać na adres Redakcji dopiero po zakończeniu akcji „Wszystko o mieszkaniach”. TYLKO KOMPLET KOLEJNYCH kuponów konkursowych uprawnia do udziału w losowaniu nagród.

Ostatni kupon konkursowy zawierać będzie pytania, dotyczące publikacji prasowych, drukowanych PRZEZ CAŁY CZAS trwania akcji. Należy więc gromadzić „Odgłosy” z materiałami na tematy mieszkaniowe, by łatwiej znaleźć potem odpowiedź na postawione pytania.

Pomiędzy Czytelników, którzy odpowiedzą na wszystkie pytania, nadeślą w terminie komplet kuponów oraz spełnią wszystkie warunki konkursu — zostaną rozlosowane

**CENNE NAGRODY
I NAGRODA SPECJALNA
MIESZKANIE**

Dokładną listę nagród, termin nadsyłania kuponów oraz dalsze informacje opublikujemy w następnych numerach „Odgłosów”.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ, dn. 14 grudnia 1958 r.



ZBIGNIEW
WOJCIECHOWSKI

Z ADASIEM na TY

— Imię?
— „Adaś”.
— Miejsce zamieszkania?
— Łódź, Piotrkowska 172/180.

— Wiek?
— Zależy od czego będziemy liczyli. Czy od początku, czy od rozpoczęcia, czy od wprowadzenia pierwszych lokatorów. Pierwsze zamiary powstały w roku 1953/54. Dokumentacja, argumentacja, demonstracja i demokracja — przez następne dwa lata. Realizacja rok 1956/57. Pierwszy lokator, inż. architekt Stefan Jarosiński wprowadził się w listopadzie 1957 roku.

— Imię ojca?
— Jak wyżej.
— Cechy charakterystyczne?

— Kubatura 26 tys. m sześć., 88 mieszkań. Powierzchność mała, przyjemna, niestety, nie otynkowana.

— O ile się orientuje, jest pan jedynym nie otynkowanym budynkiem na Piotrkowskiej.

— Na Piotrkowskiej jedynym, ale na terenie Łodzi jednym z wielu. To długa historia. Chciałbym ją panu dokładnie wyjaśnić, ale może w bardziej dogodnym miejscu. Pozwoli pan, że zaproszę go do siebie, do domu.

Otrzymałszy tak nęcące zaproszenie skorzystałem z okazji i po kilku godzinach byłem na miejscu. Pan „Adaś” powitał mnie swymi 250 oknami (nie licząc parteru) i rozpoczął swą dziwną historię.



Łódź. Fragment ulicy.

MURY

Kim ja właściwie jestem? Jedną czwartą większej całości. Tyką sterczącą pośród małych parterowych domów. Małym fragmentem tego, co miało być wybudowane pomiędzy ulicami Główną a Wigurą. Widzi pan moje obie boczne ściany. Proste, gładkie, bez oknem. „Ślepe” ściany — jak

DOKOŃCZENIE
na str.

7

Pierwsze
PYTANIE
I
Pierwszy
KUPON
KONKURSOWY

na
str.

2

JANUSZ WEYCHERT

SPÓJRZMY PRAWDZIE W OCZY

Nie ma na pewno sprawy bardziej bolesnej, obarczanej tyłoma osobistymi tragediami — niż problem mieszkaniowy naszego miasta. I nie ma też sprawy wywołującej więcej pytań i nieporozumień.

LEPIJ JEST, CZY GORZEJ, NIŻ PRZED WOJNĄ? CZY PRAWDĄ JEST, ŻE MIESZKAMY GORZEJ, NIŻ W WARSZAWIE? KIEDY OSTATECZNIE LUDZIE PRZESTANĄ MIESZKAĆ W SUTERYNACH, PIWNICACH I NA STRYCHACH? KIEDY PRZESTANĄ SIĘ TŁOCZYĆ W CIASNICH IZBACH?

Nie wszystkie pytania znajdują odpowiedź w tym artykule. Chcę w nim tylko w ogólnym zarysie pokazać stan faktyczny i przyczyny, które powodują ciężką sytuację mieszkaniową w Łodzi. Żeby mówić, co i ile mamy do zrobienia, jakie potrzeby należy przede wszystkim spełnić, musimy te potrzeby najpierw poznać.

1.

Darujcie, że od razu na początku sypnę liczbami. Bo tylko liczby mogą najogólniej wyznaczyć sytuację mieszkaniową naszego miasta.

W ciągu 10 miesięcy ub. roku do referatów spraw lokalowych Dzielnicowych Rad Narodowych, wpłynęło ogółem blisko 26.000 podań i wniosków o przydział mieszkania. Oznacza to, że co najmniej 26 tys. rodzin znajdowało się w ubiegłym roku w trudnych, a często

DOKOŃCZENIE
na str.

2 i 9

ŁASKI DLA BABY JAGI

Henryk Panasiński

na umowę w reku — sprzedał go wojewódzki „Estradom” po 100 tys. złotych. Zysk PAGART-u, który jest instytucją niedotowaną, poszedł na pokrycie imprez deficytowych, wydatki administracyjne (tzw. „narzut administracyjny”) itd. itd. — trzeba przy tym pamiętać, że imprezy o tym stopniu „chodliwości”, co występ Kiepur, należą do rzadkości.

Łódzka „Estrada” kupiwszy tedy Kiepurę za 100 tysięcy, zapłaciła dodatkowo: 40 tys. gr. klucze, 30 tys. ZAIKS-owi, 60 tys. Pałacowi Sportowemu za odnajem sali. Adaptacja sali — ustawienie estrady, ustawienie i numeracja krzeseł, radiofonizacja, instalacja reflektorów etc. — pochłonęła następne 60 tysięcy. W sumie występ Kiepurę kosztował „Estradę” około 300 tys.; zysk kształtował się w rzędzie 100 tysięcy (oczywiście, o ile moje informacje są ścisłe). Zysk ten poszedł... no, wiecie Państwo na co poszedł ten zysk?

KOLEJNE TWARZE BABY JAGI

Baba Jaga — Estrada, o takcie dla której i wyrozumienie echałbym pod koniec tego artykułu zaapelować, działa na szeregu odcinkach, nosi szereg kolejnych twarzy. Przewrotny impresario, zwykły urzędnik, ciotunia od kultury — oto twarze Estrady.

Uproszczonego podziału na twarze wyglądałby tak: z jednej strony prowadzi „Estrada” działalność usługową, czy usługowo-organizacyjną, spełniając funkcję impresaria — i na tej działalności zarabia. Z drugiej strony prowadzi działalność kulturalną, bierze na siebie zadanie kulturalnej penetracji terenu — i do tej działalności dokłada.

KIEDY SZMIRA JEST LEGALNA?

Przenieśmy się na front kulturalnej działalności „Estrady” — mam tu głównie na myśli działalność prowadzoną w tzw. terenie. Działalność tę obliczoną zresztą głównie na województwo łódzkie i kieleckie, prowadzi „Estrada” przy pomocy zespołów etatowych i pomocniczych, które różnią się od siebie tym przede wszystkim, że pierwsze przynoszą deficyt, a drugie — dochód.

To weale nie jest szmira — tak jest naprawdę. Szmira bowiem (a zresztą niekoniecznie i szmira) wówczas dopiero staje się legalna, gdy ma na sobie stempel „Estrady”. Jeżeli czterech panów i trzy panie zaprzęga stworzyć wokół instrumentalną trupe, czy też zakreować w jakimś stuczydle, czy zorganizować coś innego w tym guście — mogą to zrobić, ale na własne ryzyko i za własne pieniądze. Z gotowym programem twarzystwo zgłasza się do „Estrady”.

„Estrada” zwołuje komisję 1 albo przyjmuje program (wówczas ekipa wyrusza w objazd, płacąc jedynie „Estradzie” buraż w wysokości 13 do 20 i więcej procent od kasy, a ekspansję jej mogą powstrzymać już li tylko komisje kwalifikacyjne WRN, od których zależy wpuszczenie bądź niewpuszczenie imprezy na swój teren — podjazd i podchody stosowane wobec tych komisji, warte są poematu), albo program odrzuca, wówczas ekipa spróbuje szczęścia w innej „Estradzie”.

Ale czysty zysk, jaki dają zespoły pomocnicze, jest czymś kuszącym, często sumienie buchałtera silniejsze bywa od sumienia artysty i raz za razem zalegalizowana szmira wyrusza w Polskę. I choć trzeba przyznać, że Łódzka „Estrada” ma w tej mierze grzechów stosunkowo niewiele, to przecież o „Hajduzku” (przeróbka sceniczna „Pana Wołodyjowskiego”) doszły do mnie, z województwa bydgoskiego badające, wieści koszmarnie. Ja „Hajduzka” nie widziałem — takie rzeczy rzadko pokazuje się ludziom piszącym o teatrze, chociaż muszę lojalnie przyznać, że byłem zapraszany na „Hernanlego” (fakt) Wiktora Hugo i — wstyd się przyznać — stchórzylem...

DO CZEGO SIĘ DOKŁADA?

Dokłada natomiast „Estrada” do zespołów etatowych (Łódzka „Estrada” ma trzy takie zespoły — dwa dramatyczne i jeden estradowy), do wszelkiego typu imprez okolicznościowych, związanych na przykład z Rokiem Mickiewi-

czowskim, do koncertów szkolnych itp. Dopłata ta wyższa jest niż dotacja (800 tys. zł w skali rocznej) i różnica musi być oczywiście pokryta.

Nie będę bliżej zajmował się tą stroną działalności PPIE — zameczyłbym czytelnika, szczególnie, że musiałbym wówczas omówić wszystkie warianty koncepcji połączenia dramatycznych zespołów „Estrady” z Teatrem Ziemi Łódzkiej, zreferować raczej za i przeciw, postawić pytanie czy „Estrada” powinna wystawiać sztuki pełnospektaklowe, czy też tylko składanki i tak dalej. Wystarczy jeżeli powiem, że kompromitującą niski poziom zespołów etatowych „Estrady” podniósł się ostatnio dość wyraźnie, że kierownikiem artystycznym PPIE został Seweryn Butrym, że wreszcie podstawową trudnością jest tu brak własnej, miejskiej sali. Były co prawda pretensje do „Estrady”, że zaniedbała rzekomo prace adaptacyjne w sali dawnego kina „Mewa” na Chojnach, ale były to pretensje o tyle niedorzeczne, że budynek ten wciąż jest jeszcze własnością prywatną i dwa lata trwające zabiegi o jego uzyskanie — spelzają jak dotychczas na niczym. A szkoda — chociaż jeden peryferyjnie położony teatr jest Łódź bardzo potrzebny.

NA KIM SIĘ ZARABIA?

Staliśmy więc na tym, że aby Sima Sawinowa czy Mieczysław Stefanski powiedzieli, mogli wyjechać w teren. „Estrada” musi zarobić i to zarobić albo na „Hajduzku”, albo na Kiepurze, albo... tak, tak — na Bittnerównie. Jest coś groteskowego w tym zestawieniu — wątpliwej jakości półamatorski zespół pomocniczy, zaoczniczy gość o odrobinę dejtę zresztą sławie



i największa polska tancerka obecnej doby, zgodnie składają się na to, aby mieszkańcy Rawy Mazowieckiej mogli obejrzeć „Starego kawalera”. Ja nie mówię, że to jest zło, ale że na pewno groteskowe.

Padło jednak nazwisko Bittnerówny — pozostawmy przy nim. O ile bowiem w wypadku imprez zagranicznych „Estrada” właściwie niewiele ma do powiedzenia, bo BWKS (Biuro Współpracy Kulturalnej z Zagranicą) organizacje tych imprez jej po prostu zleca, a PAGART sprzedaje moniejsze i słabsze zespoły po trosze na zasadzie handlu wiazanego, to w wypadku imprez krajowych „Estrada” działa zupełnie na własną rękę. Ona jest impresariem, ona reprezentuje łódzkiego widza, ona stara się dogodzić jego gustom i ona musi przeprowadzić dokładną kalkulację.

A skalkulować jedną czy drugą imprezę nie jest tak łatwo — wszystko zresztą zaczyna się od sprawy sal. W zasadzie do dyspozycji „Estrady” stoja dwie sale, jeżeli chodzi o imprezy maistwo, a mianowicie Pałac Sportowy (fakt on tam pałac — niech będzie przekłety ten, kto wymyślił tę beczalską nazwę) i Hala Wimy, oraz trzy sale kameralne: Filharmonia, MDK i ewentualnie kino „Baliyk”.

Hala Wimy od chwili otwarcia Pałacu Sportowego zaczęła zresztą obumierać. Najlepsze warunki odbioru widowniska, zły dojazd, peryferyjne położenie — wszystko to sprawia, że publiczność chodzi do niej bardzo niechętnie, czego dowodem może być fakt kiepski kasowej kolejnych „Zgaduj-zgaduli”.

Pozostaje Pałac Sportowy, ale on jest diabło drogi, a każda impreza w nim organizowana wysoce ryzykowna. Skalkulujmy, proszę, dla przykładu przyjazd do Łodzi baletu Opery Bydgoskiej.

Koszt sal i jej adaptacji — jeżeli kierownictwo Pałacu weźmie mniej, niż w wypadku Kiepur — 100 tys. złotych. Balet i orkiestra za jeden występ — 40 tys., ZAIKS — 20 tys. W sumie 160, niech 150, niech 120 tysięcy nawet — tymczasem przy sprzedaży pełnych 10 tysięcy miejsc i umiarkowanych cenach biletów wpływ wyniosł 200 tys. złotych. Ale te dziesięć tysięcy miejsc trzeba sprzedać i to sprzedać na pewno!

NA CO CHODZA?

Znacznie bezpieczniej wygląda kalkulacja w wypadku imprez kameralnych, przy czym najczęściej wykorzystana, bo i najczęściej dostępna jest tu sala Filharmonii. Sala ta (nawiasem mówiąc całkiem niezła, jeżeli chodzi o imprezy muzyczne, a fatalna, jeżeli chodzi o imprezy baletowe), przy cenach biletów od 12 do 25 złotych i pełnym komplecie na widowni, daje około 14 tys. złotych wpływu i to już jest suma, w ramach której „moemy” nawet zespół można do Łodzi sprowadzić.

Ale w tej sali położył się „Wagabunda” — był za trudny! W tej sali położył się bardzo dobry rumuński zespół „Electrocordu” — był zbyt słabo reklamowany i jakoś nie wzbudził zaufania. W tej sali organizują imprezę z udziałem Bittnerówny, Grucy, Finzego i powiedzmy jeszcze jakiegось soprana z nazwiskiem, można liczyć na 2-4 komplety, a organizując im-

prezę z orkiestrą Skowrońskiego, Zylską, Gniatkowskim i Dankiem co najmniej na 8 kompletów.

DYGRESJA O REKLAMIE

A trzeba tu dygresyjnie dodać, że publiczność Łódzka w wysokim stopniu uodporniona jest na działanie reklamy. W wypadku operetki na przykład, w dwa-trzy dni po premierze następuje przesilenie i jest już niemal z całą pewnością wiadome, czy wyciągnie się 50, czy 150 spektakli. Po tem można pisać dobrze, albo źle, rozwiślać po całym mieście gabloty ze zdjęciami, albo je zdejmować — ani to pomoże, ani to zaszkodzi.

Łódzianie przyzwyczajają się ponadto do określonych sal i bardzo niechętnie zmieniają upodobania — po natoku (a miało to miejsce parę lat temu) bardzo stabilnych imprez organizowanych w Filharmonii na różne społeczne i charytatywne cele, sala ta stała się na powien czas „niechodliwą”, spaloną głównie u inteligencji. Podobnie „niechodliwa” u inteligencji sala będzie sala kina „Baliyk” — tu chodzi o brak szatni, o niemożność „pokazania się”, nieprawdąż, w eleganckiej sukni, a i o brak nawyku tak-

ŁASKI DLA BABY JAGI

Myślę, że te ostatnie uwagi, dopełnily już ostatecznie obrazu trudności, jakie stoja przed „Estradą”. To prawda — „Estrada” nie prowadzi żadnej polityki repertuarowej w stosunku do miasta. Dba wprawdzie o poziom imprez, ale boi się ryzyka, ogranicza się do „pewniaków” kasowych — ostatecznie wrocławską pantomimę sprowadził prywatny impresario i zorganizowałszy ją w orgie reklamowa, miał bity komplet na widowni.

„Panna do wszystkiego”, z urzędu niejako prowadzi działalność na najróżnorodniejszych polach, nie ma chyba wystarczającego poparcia w prasie i zdana jest na własne siły...

Zastrzegłem się zresztą na wstępie, że nie będę ani osądzał, ani postulował. Tytu jest na to amatorów, że ja — pokorny duchem — chętnie zadowolę się tym, że przedłożyłem im jakiś materiał. I jeżeli Maria Malicka czy Irena Eichlerówna zechcą wyruszyć pod firmą zespołu pomocniczego. Innymi słowy owe zespoły pomocnicze są zalegalizowana forma inicjatywy prywatnej w dziedzinie kultury.

SPOJRZMY PRAWDZIE W OCZY

(Dalszy ciąg ze str. 1)

tragicznych warunkach mieszkaniowych. I na pewno nie wszyscy, którzy mają takie warunki, występowali z podaniami.

Ale jest inny wskaźnik, bardziej chyba obiektywny ustalony przez różne oficjalne i zasadnicze statystyki polskie i międzynarodowe. Tym wskaźnikiem jest ilość osób, zamieszkujących 1 izbę. Wynosił on w Łodzi, według ostatnich obliczeń w roku 1957 — 2,0.

Dużo to, czy mało — wskaźnik wyraźnie porównanie Łodzi z innymi miastami, z przeciętną w Polsce, z innymi krajami. Niechaj ilustrują zresztą ten problem — dużo czy mało — osobiste doświadczenia 4-osobowej rodziny, zajmującej pokój z kuchnią...

Taki sam wskaźnik, co Łódź, ma Warszawa, a w skali ogólnopolskiej wynosi on 1,8 osoby na izbę. Lepiej jest w Czechosłowacji — 1,5, w NRF — 1,1 — gorzej w Jugosławii — 2,2.

Dodajmy jeszcze, w przedwojennej Łodzi, według danych z roku 1939, wskaźnik zagęszczenia był wyższy, niż obecnie — 2,2 mieszkań-

ca na izbę. W 1946 r. zagęszczenie mieszkań łódzkich wynosiło 1,8, w 1950 — 1,9, by w roku 1956 — osiągnąć wskaźnik 2,0.

Te liczby jednak nie dają pełnego obrazu, ukazują tylko część prawdy.

2.

Wiele jest w Łodzi rzeczy, które są nawet dla starego mieszkańca — egzotykiem. Czy znacie ulicę Abramowskiego, monotonny ciąg domów między Kilńskiego i Sienkiewicza? Prawdopodobnie tak — mało kto wie jednak, czym się ta na pozor zwyczajna ulica wyróżnia...

Ulica Abramowskiego ma najwyższy wskaźnik zagęszczenia na 1 izbę. I to nie tylko w Łodzi, nie tylko w Polsce. Ktoś obliczył przed kilku laty — że najwyższy w Europie! Sprawa jest prosta. Wysokie, tak podobne do siebie domy na tej ulicy składają się niemal wyłącznie z mieszkań 1-izbowych. W TEGO TYPU MIESZKANIACH ZAGĘSZCZENIE NA JEDNĄ IZ-

BĘ JEST Z REGULY WYŻSZE!

Taki lokal, niezależnie od swej powierzchni — stanowi oddzielną jednostkę mieszkalną, a więc zamieszkiwany jest przeważnie przez całe rodziny: małżeństwa, z zasady z dziećmi — a nierazko i ze starymi rodzicami.

Takich mieszkań mieliśmy w Łodzi w roku 1950, w czasie ostatniego spisu ludności, aż 48,5%.

Ogromny wskaźnik, najwyższy w Polsce. W tym samym czasie w Warszawie było mieszkań 1-izbowych 34,4%, a przeciętna w Polsce wynosiła 21,1%.

Zwróćmy ponadto uwagę: mieszkanie 1-izbowe musi spełniać praktycznie wszystkie te same funkcje, co lokal o większej ilości pomieszczeń, a więc funkcje kuchni, sypialni, łazienki, nawet ubikacji. Klasność zwiększa szereg zastawienie meblami, trzeba też wydzielić osobny kątek do mycia, pięć kuchenny też zajmuje cenne metry powierzchni użytkowej.

(Dokończenie na str. 9)

Pytanie konkursowe Nr 1

Jeśli uważasz swoje warunki mieszkaniowe za niedostateczne — jakim sposobem zamierzasz je poprawić?

A	złożyłem (mam złożyć) podanie do władz kwaterynkowych o przydział mieszkania	C	wstąpiłem (wstąpię) do spółdzielni mieszkaniowej
B	czynię starania poprzez zakład pracy, który projektuje budowę mieszkań we własnym zakresie	D	oszczędzam na książeczkę PKO

KUPON Nr 1

A B C D

Wytnij-Zakreśl na kuponie właściwą odpowiedź-Zachowaj Zbieraj następne kupony-Odpowiedz na następne pytania!

Z wysłaniem odpowiedzi poczekaj na hasło, które da w odpowiednim czasie redakcja. Kompletuj kupony i odpowiedzi, bo jest to warunek Twojego udziału w losowaniu cennych nagród.



Patrole policji na ulicach Łodzi 1.V. 1930 r.

DROGA DO NARODU

40 lat temu, 16 grudnia 1918 roku, powstała Komunistyczna Partia Robotnicza Polski. Było w jej powstaniu coś symptomatycznego i wymownego politycznie. Szereg partii komunistycznych kształtowało się w wyniku rozłamów w skostniałych już i konformistycznych socjaldemokracjach. KPRP zrodziła potrzeba jednoczenia rewolucyjnego ruchu. Z pewnością nie był to przypadek, lecz realizacja dojrzewającej już we wcześniejszych latach koncepcji ideowej pracy polskich komunistów, wytrwale dążenie do zgromadzenia pod sztandarami socjalizmu wszystkich postępowych sił narodu.

Kiedy powstaje nowa partia, wydaje zazwyczaj szumny manifest, zapowiada rychłą szczęśliwość, sypie receptami na zbawienie narodu. 40 lat temu powstała partia, która obiecywała ciężką i trudną walkę.

„Robotnicy! Komunistyczna Partia Robotnicza Polski — czytamy w manifestie uchwalonym na I Zjeździe — nie obiecuje wam nic prócz znojnego, ofiarnego trudu, nie ponad to, co klasa robotnicza sama w ogniu walki i rewolucji zbuduje, utrwali i rozwinię. Waszymi tylko rękami możecie zdobyć władzę, waszym tylko wysiłkiem możecie ewalić stary gmach wyzysku i katowskiego u-

cisku, zbudować społeczeństwo wspólnej własności i wspólnej pracy, wolności i braterstwa ludów”.

40 lat temu starły się dwa odmienne i wrogie sobie programy niepodległej Polski: socjalistyczny i burżuazyjno-obszarniczy. Reakcja zdołała się utrzymać przy władzy ponad 20 lat, zesza jednak z widowni dziejów obarczona odpowiedzialnością za jeszcze jedną klęskę utraty wolności. Nie pierwszy raz potwierdziła się stara prawda — za lęk przed rewolucją, przed postępem, za próbę powstrzymania dziejów płaci się utratą niepodległego bytu.

Zrozumiałe upojenie wolnością uzyskaną po przeszło stu latach niewoli, zręczne manewry burżuazji, demokratyczny frazes, efektowne mity w rodzaju „przedmurza chrześcijaństwa” czy „Polski mocarstwowej” od morza do morza, ugodowe stanowisko części przywódców PPS — wszystko to dezorganizowało nie dość jeszcze świadome masy.

Ale historia, uparty i bezwzględny miernik wartości wszelkich idei ujawniła szybko fałszywość burżuazyjnych koncepcji Polski, pokazała bezsens opierania jej przyszłości na tronie Romanowych, Hohenzollernów, czy Habsburgów. Rewolucja Październikowa

zmiotła tron, historia potwierdziła słuszność koncepcji Polski niepodległej, powiązanej z losami proletariatu Rosji.

Okres walki o Rady Delegatów Robotniczych — stał się próbą odpowiedzi na podstawowe pytanie — jaka ma być niepodległa Polska? „Jakie to ma być to nowe życie? Oto pytanie, które rodzi się z morza krwi, z bezmiarów cierpień, z milionów mogił wojennych” — czytamy w odezwie SDKPiL na krótko przed zjednoczeniem.

Nie takie to dawne czasy, wielu ludzi pamięta jeszcze działalność RDR w naszym mieście, pamięta nazwiska Hibnera, Napiórkowskiego, Madejczyka, Rapalskiego i wielu innych, pamięta szare, czynszowe domy na Polnej, Ewangelickiej czy Piotrkowskiej, skąd szły wezwania do wielkiego strajku generalnego z marca 1919.

Dzieje nie poskąpiły — jak wiadomo — KPP radosnych, ale i bolesnych doświadczeń. KPP nie zdawała sobie jeszcze do końca sprawy z nie wyzyskanych możliwości rewolucyjnych nastawionych demokratycznie mas chłopstwa i drobno-mieszczanstwa, pomijała je często, utrudniając sobie drogę do narodu. Na bezpośrednich polach bitew, w halach fabrycznych, na uli-

ca się powoli droga partii do narodu, do wszystkich, którym było źle.

Prace Kostrzewy, Warskiego, Próchnika, uwzględniające specyficzne cechy narodu, jego uczulenie na sprawę niepodległości, niechęć do wszelkiej tyranii, prace ukazujące wielkie możliwości sojuszu z chłopami, przyjęte na II Zjeździe, wskazywały wyraźnie, że partia przyswoiła sobie idee Lenina i umiała je przystosować do warunków polskich.

Ale przełożenie słusznych haseł na język codziennej działalności rewolucyjnej nie było łatwe. Mimo wielu sukcesów burżuazja nadal utrzymywała władzę, nadal wzmagala terror. W maju 1924 roku pada od kul plutonu egzekucyjnego młody 18-letni komunistą łódzki Engel, giną Kniewski, Hibner, Rutkowski. Zapelniają się więzienia, odżywa stara, znana w carskich kazamatkach tradycja kontaktów przez ściany. Palce wystukują nocami ostatnie wiadomości, przekazują polecenia partyjne. Poprzez grube mury, żelazne drzwi i kraty przedostaje się prawda.

„Towarzysze! Robotnicy! — czytamy w jednej z więziennych odezw z roku 1926, kierowanej do pracującej Łodzi — w lochach łódzkiego „Martwego Domu” siedzi nas 125 więźniów politycznych. Uwzięiono nas za to, żeśmy podnieśli sztandar ludu pracującego, za to, że walczyliśmy z reakcją, za to, że nie chcieliśmy, nie mogliśmy pogodzić się z tym, by w niepodległej Polsce rządził szpicel, obszarnik i paskarz. Zapelniamy od lat więzienia za to, że nie szukaliśmy kompromisu z byłymi slugusami carów i kaj-

zerów, że wypowiedzieliśmy im zdecydowaną walkę. Niejeden z nas siedział w tych samych norach 10, 15 i 20 lat temu, niejednemu z nas mówią te ściany o mękach naszych poprzedników. Nic się nie zmieniło wśród tych murów więziennych, tylko na czapkach dozorców widnieje nie carski a polski oświec.”

Odezwą ta brzmiała jak nowe słowa do starego „Mazura kajdaniarskiego”.

Znowu miały być walki, znowu coraz potężniejsze strajki, ogarniające coraz szersze warstwy społeczeństwa, przeplatały się z walkami na ulicy miast i polnych drogach wiejskich. Trażone w swych skutkach błędy pozbawiły KPP wielu ofiarnych towarzyszy, ale czas pokazywał jeszcze wyraźniej słuszność harmonijnej koncepcji Polski, reprezentowanej przez KPP. Socjalizm to niepodległość.

„Stanowisko KPP w sprawie niepodległości nie jest ani manewrem, ani zerwaniem z internacjonalizmem proletariackim. Nie holduje my burżuazyjnemu „patriotyzmowi”. Ale drogi jest nam nasz naród, drogie są wszystkie jego rewolucyjne, postępowe tradycje. Nie było, nie ma i być nie może sprzeczności pomiędzy proletariackim internacjonalizmem a sprawą wolności poszczególnych narodów”. („Nowy Przegląd” V—VI 1937).

Dziś, kiedy wokół Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej skupia się już olbrzymia część Polaków, warto pamiętać, że 40 lat temu, w roku 1918, rozpoczęła w niezwykle ciężkich warunkach KPP drogę do narodu.

RED.



Grupa KZMP-owców w pochodzie 1 Maja 1935 r. w Łodzi na Piotrkowskiej



1 Maja 1936 r.



1 Maja 1933 r. ZDJĘCIA ARCHIWALNE Wydziału Historii Partii KŁ PZPR

19 lipca 1956 r. Dulles oświadcza: „...Stany Zjednoczone nie mogą wziąć udziału w finansowaniu zapory w Asuanie”.

20 lipca Anglia składa podobne oświadczenie. 26 lipca Nasser ogłasza nacjonalizację Kanału Sueskiego. Następnego dnia Londyn i Paryż zgodnie wołają: oczywiste pogwałcenie prawa międzynarodowego.

W kilka godzin po oświadczeniu Nasser Mollet telefonuje do Edena i proponuje wspólną interwencję Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych. Eden wyraża zgodę. Mollet łączy się z Waszyngtonem — Dulles zapowiada swój niezwłoczny przyjazd do Londynu.

29 lipca admirał Nomy, francuski szef sztabu marynarki, specjalnym samolotem udaje się do Londynu, aby przedyskutować z angielskim premierem i naczelnym dowódcą, jakie siły wojskowe są w natychmiastowej dyspozycji obu państw dla wspólnej interwencji w Egipcie.

Dulles przybywa do Londynu. Poglądy jego są odmienne, niż jego kolegów — angielskiego i francuskiego. Uważa, że Stany Zjednoczone mogą na Srodkowym Wschodzie prowadzić politykę niezależną od polityki ich sprzymierzeńców. Nie tylko niezależną, ale wręcz inną. Wszak amerykańskie koncerny naftowe współwładczą na tych terenach z koncernami angielskimi i każde ograni-

czenie wpływów tych ostatnich, osłabienie pozycji Anglii w Arabii, jest wodą na ich młyn. Wszak Stany Zjednoczone prowadzą od niedawna nową politykę zmierzającą do pozyskania państw „neutralnych” i wystąpienie wspólnie z głównymi przedstawicielami „kolonializmu”, i to wystąpienie militarne, interwencja zbrojna, oznacza zupełną kompromitację tej polityki. Eliminacja sprzymierzeńców ze Srodkowego Wschodu leży

EDWARD CASTEL

Interwencja w Suezie (1)

w interesie Stanów Zjednoczonych.

Wobec tego Dulles reprezentuje na konferencji ostrożność i umiar.

Eden i Pineau argumentują, że dla Anglii i Francji kontrola nad kanałem jest sprawą życia i śmierci. Ze nie mogą pozwolić, by ta arteria doprowadzająca do oceanizmu ich krajów naftę — naftę, bez której współczesne życie gospodarcze nie może istnieć — dostała się w inne ręce. Jeśli Stany Zjednoczone nie chcą same użyć przeciwko Egipcjowi siły, to niech dadzą przynajmniej wolną rękę swym sprzymierzeńcom.

Ale czy Anglia i Francja same, bez Stanów Zjednoczonych, mają środki do sku-

tecznej interwencji w Egipcie?

Na Downing Street i w angielskim Ministerstwie Wojny admirał Nomy i jego angielscy koledzy dokonują szybkiego przeglądu środków znajdujących się w ich arsenale.

Cypr odległy jest od wybrzeża egipskiego jakieś 400 kilometrów. Dla bombowca Canberra 30 minut lotu do Aleksandrii, 40 minut do Kairu. Cypr jest bazą lotniczą. Bazą wyposażoną w bomby atomowe, których Anglicy mają pokaźne zapasy. W ciągu godziny można pułkownika Nasser, jego rząd i parę milionów Egipcjan znieść z powierzchni ziemi.

Nie te czasy. Na arenie międzynarodowej Egipt nie jest osamotniony.

Inna koncepcja. Rzucić spadochroniarzy na kanał. W ciągu 48 godzin floty powietrzne obu państw mogą przerzucić na Cypr sześć pułków spadochroniarzy — 6.000 ludzi — a stamtąd rzucić ich na Ismailię, główne miasto w strefie kanału.

Egipt ma co najmniej 400 samolotów bojowych i tyleż samo czołgów. Jak długo 6.000 spadochroniarzy potrafi się oprzeć tej potęgę? Regulaminy mówią, że oddziały spadochronowe po najdalej 12 godzinach muszą otrzymać wsparcie. Oddziały wspierające muszą mieć czołgi. Na to, żeby przerzucić do wybrzeży Egiptu dostateczną ilość czołgów, trzeba zgromadzić flotyllę okrętów. Następnie trzeba przerzucić czołgi na ląd. A więc stworzyć przyczółek. Przedtem trzeba unieszkodliwić lotnictwo egipskie, a więc całą operacja. Operacja wymaga planu. Plan wymaga sztabu. A wszystko razem wymaga czasu.

— Jakiego czasu?
— W najlepszym razie sześć tygodni.

„Wszystko da się załatwić bez uciekania się do użycia siły” — twierdzi Dulles. „Przypomnijcie sobie panowie Mossadeka”.

Przykład nie został wybrany szczęśliwie. „Przypadkowa” rewolucja zmłotła



Nasser wśród tłumów manifestujących z okazji nacjonalizacji Kanału Sueskiego

wprowadzić Mossadeka, ale Anglia musiała odać nafię perską, a wróciła już tylko jako częściowy udziałowiec. Kontrolę nad kanałem nie chce dzielić z nikim.

Stawiają więc sprawę jasno: jeśli Stany Zjednoczone będą się sprzeciwiały interwencji anglo-francuskiej w Egipcie, to oznacza to koniec paktu atlantyckiego.

„Pakt atlantycki przede wszystkim” — mówi Dulles — „zobaczmy jednak najpierw, co da się osiągnąć na drodze dyplomatycznej”.

Przygotowanie skutecznego uderzenia na Egipt wymaga w najlepszym razie sześciu tygodni. Przez sześć tygodni co najmniej Anglia i Francja i tak nie są w stanie podjąć żadnej akcji militarnej.

Godzą się więc na zwolnienie międzynarodowej konferencji narodów zainteresowanych losami kanału. Zastępują sobie jednak, że jeśli nie osiągną swoich celów środkami pokojowymi, użyją siły. Stany Zjednoczo-

ne gwarantują „atomowy parasol” na wypadek, gdyby Związek Radziecki ujął się za Egipcjan.

Ostatecznie więc Stany Zjednoczone dają swym sprzymierzeńcom wolną rękę? Eden jest o tym do końca głęboko przekonany, nawet wówczas, gdy staje się oczywiste, że Dulles jest znów wyraźnie wrogi jakiegokolwiek anglo-francuskiej akcji militarnej przeciwko Egipcjowi.

Ta błędna ocena stanowiska Stanów Zjednoczonych zaciążyła fatalnie nad polityką Edena. Nie ulega wątpliwości, że większość społeczeństwa angielskiego, i nawet większość członków partii konserwatywnej — partii Edena — oceniała to stanowisko inaczej, bardziej realistycznie. Nie należy umniejszać wpływu szeregu innych czynników, wydaje się jednak, że w tym leży jedna z przyczyn burzy, jaką polityka Edena wobec Egiptu wywołała w Anglii.

(d. c. n.)

ZA TYDZIEŃ:

Operacja „Terrapin” — „Hamlikar” — przygotowywanie interwencji.



Anthony Eden i Guy Mollet. Tajemnicze uśmiechy zdradzają, że ze sprawą Kanału nie jest widać tak źle...

Perspektywa zagłady czy POKOJU?

MAREK T. EMER

Perspektywa zagłady czy POKOJU?

Opublikowany w 40 numerze „Odgłosów” artykuł Oskara Lindaya pt. „Doktryna zagłady” wzbudził we mnie szereg refleksji i nieodpartą chęć podzielenia się z Czytelnikami niektórymi uwagami na ten temat.

Pomijam już fakt, że perspektywy po lekturze artykułu są, jak trafnie to określił jeden z moich znajomych, koszmarnie. Linday relacjonował gołe fakty i miał do tego prawo. Nie jego wina, że biado wypadł redakcyjny komentarz. Trzeba nawet odnieść sprawiedliwość autorowi, że nie wszystkie „koszmarności” podał do wiadomości ogólnej. Nie powiedział na przykład, że nieoficjalnie obliczenia szacunkowe ustalają zapasy bomb atomowych i wodorowych obu „stron” na kilkadziesiąt tysięcy, podczas gdy do zniszczenia wszystkich miast-ośrodków przemysłowych „wystarczy” kilka tysięcy bomb. Nie powiedział, że wyposażone w nieprawdopodobnie kosztowny system elektronowo-radarowej obrony przeciwlotniczej Stany Zjednoczone uznają, iż system ten jest wysoce niedoskonały i nie może zapobiec atomowej zagładzie kraju — skąd praktyczny wniosek, że nikt skutecznej obrony nie będzie mógł sobie zapewnić. Nie powiedział również Linday, że Amerykanie są tak bardzo „przestraszeni”, iż regulaminowy czas alarmu całego lotnictwa strategicznego wynosi u nich obecnie... 15 minut. W 16 bowiem minutach ma nastąpić zniszczenie ich bez przez radzieckie pociski atomowe... Linday o tym nie pisał — i słusznie. Ja piszę, ponieważ właśnie dlatego „doktrynę zagłady”, czy raczej „doktrynę zmasowanego odwetu” traktuję wyłącznie jako atut w rekach szantażysty, hohsztaplera, który sam panicznie boi się wykrycia jego własnych grzeszków. Zresztą nie tylko dlatego. Najpierw jednak

TROCHE KONSEKWENCJI

Właściwie niezupełnie trochę, bo podwójnie: za siebie i za Lindaya. Linday zaczął od Hannibala, aby udowodnić Czytelnikowi, że współczesny świat porzucał stare, solidne doktryny wojackowe i beztrząsco postanowił się zrelaksować. A o tym to świat postanowił, widząc

taka jest „doktryna wojenna” tego świata. Nie będzie więc już „chwytów canneńskich”, tylko sama zagłada, koszmarnie, kropka.

Czytelnika może to interesować mniej, ale w tym miejscu trzeba wykazać błąd w terminologii użytej przez Lindaya. „Doktryną zagłady” nazwał on bowiem to, co przedtem nazywał „poziomym technicznym”. Mówił bowiem wyraźnie, że przy mniej więcej wyrównanym poziomie technicznym, zwycięża nowatorstwo strategiczne, przeblyski geniuszu. Zwycięża, rzecz jasna, tylko w takiej sytuacji, w której wojna trwa może dłużej, niż czas potrzebny strategicznym bombowcom na ułożenie w celu ładunków atomowych. Ten czas jest dzisiaj wielokrotnie krótszy, niż wymagałby na genialniejszy wódz, aby zebrał meldunki, ocenił sytuację i wydał rozkazy. Istnieje więc we współczesnym świecie nie doktryna zagłady, a techniczny poziom zagłady. A to zupełnie co innego! TO ZASADNICZA RÓŻNICA!

Jeśli bowiem, po odpowiednich strategiczno-historycznych wstępach, używa się terminu „doktryna zagłady” — to sugeruje się w ten sposób Czytelnikowi, że jest to droga do osiągnięcia zwycięstwa, że ktoś, kto pierwszy tę doktrynę zastosuje, bezspornie wygra, zgładziwszy swego przeciwnika, że w takim razie warto zacząć wojnę.

Oczywisty nonsens. Więcej — mistyfikacja. Jeżeli istnieje techniczny poziom zagłady, nie pomoże żadna „doktryna”. Zagłada obu stron nastąpi bez względu na bliskość operacji!

W tym układzie dezertryzacja rozpoczęcia wojny atomowej nie może być sprawą „doktryny” a tylko SKALKULOWANA NA ZIMNO ZERODNIA WOBEC WŁASNEGO NARODU.

CZY W OGÓLE ISTNIEJE NIEBEZPIECZEŃSTWO WOJNY?

Na wojnę decyduje się kraj, jeżeli jest to dla niego absolutna konieczność obrony, lub absolutna pewność sukcesu. O absolutnej pewności sukcesu nie mógł nawet myśleć schizofrenik Forrestal, były minister wojny USA. Pozostaje więc wypadek pierwszy, gdzie celem wojny jest zadanie nieprzyjacielowi klęski, udaremniającej agresję. Przyjmijmy, że w służbie tej idei funkcjonuje amerykański system „zmasowanego odwetu”. Odrzućmy jego treść propagandową i jego — niepoedlną — rolę

w „zimnej wojnie”. Pozostawmy na boku fakt, że podmiot amerykański musi być bardzo starannie przekonany o groźnym krajowi niebezpieczeństwie, aby pozwolił się bezkarnie okradać z ciężko zapracowanych dolarów; że ulgi podatkowe dla producentów broni usprawiedliwi społeczeństwo tylko ich „dziewią kończonością”, że wreszcie, jak się nie ma w socjologicznym arsenale lepszej idei, to można i ideą „obrony” jednoczyć społeczeństwo rozproszone na dziesiątki milionów prywatnych interesów i interesików.

Dużo wprowadzić odrzućmy „na bok”, ale pozostał nam za to „czysty” system odwetu. Deklaruje on, że jeśli któkolwiek napadnie na Stany Zjednoczone, zostanie natychmiast obrzucony bombami wodorowymi, bez względu na sposób, jakim ta napaść zostanie dokonana. Ten „wyabstrahowany” system odwetu nie stanowi niebezpieczeństwa wojny. Nikt na Stany Zjednoczone napadnie nie będzie.

A nie „wyabstrahowany” tym bardziej nie jest groźny. Stanowi bowiem — i to trzeba podkreślić z całą stanowczością — narzędzie wewnętrznej polityki wielkiego kapitału w stosunku do narodu amerykańskiego, który jak wiadomo wojny nie chce.

Jeśli tak, to wobec tego CZY ISTNIEJE POTRZEBA OBRONY POKOJU?

Pokój to nie tylko przeciwność stanu wojny. To także — i przede wszystkim — atmosfera, w której ludzie mogą polepszać swą egzystencję, w której budżety państw nie są obciążone monstrualnymi wydatkami na zbrojenia, w której każdy człowiek wolny jest od strachu o swe życie i imię.

W tym znaczeniu niewątpliwie bardziej ogólnym i głębszym nie ma na świecie pokoju i trzeba o pokój wytrwale walczyć.

Jakkolwiek wszystkie racje logiczne sprzeciwiają się ewentualności rozpętania wojny atomowej, jakkolwiek wielkie nadzieje można pokładać w samozachowawczym instynkcie człowieka i w walce prowadzonej przez kraje socjalizmu — to jednak dopóki imperialistyczny zbrojmistrz współczesnego świata nie przestaną zonglować ludobójczyimi zabawkami, dopóki Oskar Linday będzie miał formalne bodźce do oświadczenia „doktryny zagłady” — sprawa pokoju jest sprawą otwartą. Jest sprawą walki,



BOMBA „H”. Pan Kazimierz C. z Łodzi. Rację ma pański adwersarz, a więc przegrał Pan zakład. Bardzo nam przykro, że mimo miłego listu musimy rozsząć ten spór na pańską niekorzyść, ale zasada działania bomby „H”, czyli wodorowej (od „hydrogenium” — wódór), jest zupełnie inna,

niż zwykłej bomby atomowej. Jak Pan słusznie mniema, wybuch bomby atomowej jest rezultatem rozpadu badanku, którym może być uran lub pluton, (zresztą również inne, do czego wrócimy przy okazji). Wybuch bomby wodorowej natomiast polega na łączeniu się atomów wodoru w atomy helu. Po wybuchu bomby atomowej uran przekształca się w ciałko proste, o niższej liczbie atomowej (liczba atomowa wskazuje na ilość elektronów posiadanych przez atom danego pierwiastka). Po wybuchu bomby wodorowej, wódór przekształca się w hel, a więc w ciałko bardziej złożone, o wyższej liczbie atomowej,

Do wyzwolenia tej reakcji potrzebna jest ogromna temperatura, rzędu kilku milionów stopni Celsjusza. Jak dotychczas taką temperaturę może zapewnić tylko wybuch zwykłej bomby atomowej, która wskutek tego jest „zapalnikiem” dla bomby wodorowej. Efekt reakcji „wodorowej” jest ponad tysiąc razy silniejszy od reakcji „atomowej”.

Jeszcze jedna ciekawostka, która niewątpliwie zainteresuje i innych Czytelników: sama reakcja „wodorowa” nie daje efektów w postaci promieniowania radioaktywnego. Radioaktywny w bombie „H” jest tylko „zapalnik”.

MOJE METAMORFOZY

Słońce paliło jak tyłko patrafi palić w Suezie. Położony u wyjścia na Morze Czerwone port jest już przedsiönkiem piekła: strasznych przestrzeni morza wokół znanego jako najgorętsze miejsce na kuli ziemskiej Adenu, Wybrzeża Piratów, Erytrei. Morza opisywanego przez Conrada, gdzie całonocne cisze potrafią wysssać i wypocić życie z żeglarzy.

Na horyzoncie ciemniały góry ciągnące się aż do zatoki, wystrzelujące wprost z rozpalonej płaszczyzny piasków. Na przeciw nich błyszczały jak aluminiowe garnki na rozgrzanej kuchni wielkie zbiorniki, nie wybuchające nagłym płomieniem.

Dalej było miasto z pojedynczymi palmami, natłokiem arabskich domów: białych, pudełkowatych, z dziesiątkami przybudówek zamiast dachów. Jeszcze dalej, tam gdzie zaczyna się wejście do kanału i stoją dwa kamienne łwy, patrzące w stronę Czerwonego Morza — białe budynki administracji kanału, jedyne w tym mieście domy otoczone ogrodami.

Gdyby urządź konkurs na krajobraz najbardziej różny od tego. Jaki mamy w Polsce — sueski miałby chyba wielkie szanse na pierwszą nagrodę. A jednak... A jednak w tym krajobrazie

zobaczyłem nagle coś, co wydało mi się swojskie, jakbym znalazł się w Nowej Hucie albo przy budowie bloków mieszkalnych na Muranowie w Warszawie, albo na Bałutach. Wśród palm, piasku i błyszczących zbiorników zobaczyłem po części „Stary” z dźwigami. Tak, tak, te same ciężarówki „Star”, co przy budowie „Trasy Stefana Starzyńskiego” i mostu pod Cytadela w Warszawie. Kreśliły się kolo pięciu olbrzymich, większych niż pozostałe zbiorników naftowych. Zbiorniki też były inne — czarne. A całość tego zaskakującego zjawiska tłumaczyła się w sposób następujący:

W Suezie Polacy budują zbiorniki naftowe, najnowocześniejsze na całym Bliskim Wschodzie, z ruchomymi pokrywami, które samorzutnie unoszą się do góry, w miarę napełniania zbiorników naftą. W ten sposób przeciwdziałają się parowaniu i wynikającym z tego stratom. Zresztą powiedzenie: „Polacy budują” nie jest zupełnie ścisłe. Polacy dostarczyli dokumentację, materiały, wyposażenia, zaś budują Arabowie, których kontroluje jeden zaledwie polski inżynier. Wtajemniczeni mówią, że interes nie jest zbyt dobry, gdyż z powodu rozmaitych, złożonych przyczyn, nastąpiło poważne opóźnienie robót. Ale jest faktem, że weszliśmy na nieznaną nam dotąd teren, że zbudowaliśmy gigantyczne zbiorniki i przekonali naftowych fachowców, iż reprezentujemy wysoka technikę. Osiągnęliśmy, że oto zwracają się do nas następni odbiorcy.

Tego samego dnia, w którym oglądałem polskie krajobrazy w Suezie, do Aleksandrii przybył pierwszy statek zakupiony przez Egipt a wybudowany w stoczni w Gdańsku. Drugi miał przy-

być wkrótce. Budujemy w Egipcie mosty, wchodzimy na rynek Iraku, w Bejrucie dobrze znają nasze towary.

Wkraczamy na Bliski Wschód — wprawdzie nie jak Sułkowski i Emir Rzewuski i nie jak Brygada Karpacza — ale znacznie lepiej. Z naszym handlem, techniką, przemysłem, okrętami. Także i z naszą kulturą. Rozmawiałem z egipskimi plastykami, którzy zwiedzili Polskę powiadali, że dla nich liczy się tylko polska sztuka. Co im tam Franciszka czy Wiochy!... Kiedy podziękowałem im, że są tak uprzejmi, mówiąc, iż chyba przesadzają, byli oburzeni. Nie, skąd — wcale nie przesadzają. Polska była dla nich największą rewelacją.

Jesteśmy już więc obecni na Bliskim Wschodzie i w następnych latach będziemy tam zapewne coraz lepiej zaważani. Ale jesteśmy od niedawna... i niech Was nie dziwi moje przygody, które chce w dalszym ciągu opowiedzieć.

JAK ZOSTAŁEM ANGLIKIEM (NA SZCZĘŚCIE NA KRÓTKO)

Otóż w czasie całej podróży po Bliskim Wschodzie, bardzo rzadko udawało mi się być sobą. Bardzo często natomiast brano mnie za kogoś innego. Najgorzej było oczywiście poruszać się w skórze Anglika.

Ostatniego dnia pobytu w Basrze. Jedynym porcie Iraku, położonym na południu, nad Zatoką Perską, została mi jeszcze godzina do odlotu. Przed jej upływem musiałem stawić się na lotnisko, ale przedtem chciałem przejechać się jeszcze po mieście i zrobić trochę zdjęć. Zawolałem taksówkę i — ruszyliśmy. Kierowca jechał powoli, a ja trząskalem z okna samochodu „fotograficzne migawki”. Ot, takie

niewinne zdjęcia: trochę ludzi, ruchu ulicznego, domów, drzew, osłów i sklepów. Obiekty wojskowe — jeśli się takie trafiły w postaci samochodu wojskowego czy wartownika na skrzyżowaniu — starannie, oczywiście, omijałem.

A mimo to na którymś z zakrętów ucho od dzbana urwało się: policjant fegulujący ruch, ubrany w biały mundur i olbrzymi hełm ze szpikulcem u góry, zatrzymał taksówkę. Pelen złych podejrzeń spytałem, co to ma znaczyć. Kierowca odpowiedział, że policjant dostał przed chwilą telefon z żandarmerii nakazujący zatrzymać taksówkę. Rozkaz jest rozkazem — trzeba czekać, aż żandarmi przyjadą na miejsce. A tymczasem do startu bagdadzkiego samolotu pozostawało już tylko dwadzieścia minut. Czas mijał, a żandarmerii nie było. Zaczęłem się złościć. Zostało już tylko 15 minut. Potem dziesięć. Wreszcie z piskiem opon zahamował obok nas żandarmerijny „Jeep”. Wy-skoczyli żołnierze z pistoletami maszynowymi. Znając dotąd tylko europejskie zwyczaje, pomyślałem: no, nim teraz wyjaśnią, porozumieją się ze stolicą, spiszą protokoły i zeznania — murwana 48-godzinna odsiadka. Do tego jeszcze trzeba doliczyć drugie 48 godzin jako poprawkę na to, że Arabom na ogół nigdy się nie spieszy.

Żołnierze podbiegli do taksówki i zażądali dokumentów. Miałem przy sobie legitymację wydaną mi przez irackie Ministerstwo Informacji. Żołnierze zabrali się do czytania. Miałem już tylko kilka minut do odlotu, ale prawdę powiedziawszy — zupełnie z niego zrezygnowałem. Ku memu zdumieniu po kilkunastu sekundach żołnierze zwrócili mi papiery i zaczęli gorąco przeproszać, bardzo się miło przy tym uśmiechając. Musiałem przerwać przeprosiny, by zdążyć na samolot. W drodze, którą przebyliśmy teraz w morderczym tempie, zapytałem kierowcę, czego oni właściwie chcieli.

— Pomyłka, proszę pana — odpowiedział — po prostu wzięli pana za Anglika. A Anglik, robiący zdjęcia z samochodu, to już bardzo podejrzana sprawa: szpieg albo jakiś inny prowokator.

JAK ZOSTAŁEM AMERYKANINEM

Było to w Damaszku. Zaszedłem do którejś z restauracji, by zjeść kolację, a raczej — zgodnie z zachodnio-europejskim, lecz przestrzegany w Syrii zwyczajem — obiad. Byłem tego dnia mocno zapracowany i nie zdażyłem kupić żadnej angielskiej ani też francuskiej gazety. Wieczorem nie można ich już dostać, a po arabsku — niestety — nie czytuję. W restauracji spostrzegłem jednak, iż siedzący przy sąsiednim stoliku dwaj Hindusi mają jakieś angielskie pismo. Poprosiłem ich o pożyczanie mi go na chwilę. Byłem ciekawy, co dzieje się w Cieśninie Taiwańskiej i w Libanie. Czytając pożyczoną gazetę zobaczyłem sprawozdanie o wystrzeleniu przez Amerykanów rakiety na Księżyc. Wprawdzie — podawała gazeta — nie wiadomo, czy próba się ostatecznie powiedzie, ale rakietę pobiła jednak światowe rekordy wysokości.

Przejrzawszy pismo, zwróciłem je właścicielowi i podziękowałem po angielsku. Bowiem słyszałem, że zwracał się w tym języku do kelnera. Powiedziałem też: — To jednak sensacja z tą rakieta. Myślałem, że znowu się nie uda...

— Ach, tak — powiedział, uśmiechając się Hindus, — pan myślał, że znowu się nie uda? No, cóż, wy, Amerykanie macie już, zdaje się, małeńki kompleksik na tym punkcie...

Przypuszczam, że Hindus wziął mnie za Amerykanina dlatego, że mój akcent różni się nieco od oksfordzkiego. A może dlatego, że Hindusi nie mają powodów do zmartwień, kiedy Janekom coś się nie powiedzie?

JAK ZOSTAŁEM HOLENDREM

To z kolei wydarzyło się na bazarze w Mosulu. Bazarzy to chyba najbardziej egzotyczna rzecz ze wszystkich egzotycznych rzeczy na Bliskim Wschodzie. Na każdym z nich setki i tysiące kupców w sętkach i tysiącach sklepów, sklepików i straganów ofiarowują klientowi wszystko, czego dusza może zapragnąć. Począwszy od półkilowych bez mała bransolet z kutego złota, a skończywszy na nylonach i najbardziej tandetnych zabawkach amerykańskich. Nie więc dziwnego, że przed wieczorem, mając nieco wolnego czasu udałem się na takie arabskie „ciuchy”, tym się jednak różniące od naszych, że prócz tandety można tam także znaleźć naprawdę piękne i interesujące rzeczy, choć trzeba ich dobrze poszukać.

Ale trzeba też zawsze pamiętać, że na bazarze trwa zaciekle walka o klienta. Nie miałem zamiaru nie kupować, chciałem tylko popatrzeć. Lecz w pewnej chwili poczułem, że ktoś ujmuję mnie silnie za ramię. Ujrzałem rozradowaną twarz młodego człowieka. Późdrowił mnie niezwykle serdecznie i zaczął wypływać, jak się czuje, jak mi się podoba Mosul, czy nie jestem zmęczony i czy nie wypitbym szklanki herbaty. Pięć mi się rzeczywiście chciało, ale zastrzegłem się, że nie będę kupować.

— Nie szkodzi, nie szkodzi — powiedział — a skąd pan jest?

— Poland — odpowiedziałem.

Nieznamomy niezmiernie się ucieszył.

— A, Holand — wykrzyknął — piękny kraj. Amsterdam... Mam tam serdecznego przyjaciela. Nazywa się... zaraz, zaraz... O niech pan popatrzy jaki piękny brokat!

Nim się obejrzałem wepchnął mnie siłą do jakiegoś sklepu i zaczął demonstrować brokaty i jedwabie. Posiedziałem chwilę, ale ujrzawszy, że się to zaczyna okropnie przeciągać i że skaczą teraz wokół mnie już trzej sprzedawcy, wstałem z krzeselka i skierowałem się ku wyjściu.

— Zaraz, zaraz, dobry Holendrze — krzyknął młody człowiek — niech pan zostanie, znajdę panu piękną rzecz, którą zawiezie pan do Amsterdamu. Mój przyjaciel zawsze to kupował.

Ale nazwiska przyjaciela nadal nie mógł sobie przypomnieć, mimo iż zaręczał, że był to najlepszy przyjaciel w jego życiu. Jednocześnie demonstrował mi straszna porcelanę „made in Germany”. Znudziło mnie to.

— Nie jestem z „Holand” tylko „Poland” — powiedziałem.

— Nic nie szkodzi — odparł młody człowiek. — Wiem, wiem, piękny kraj. Mam tam przyjaciela... Tym razem nie mógł sobie przypomnieć nie tylko nazwiska przyjaciela, lecz również nazwy „tego wspaniałego miasta, które...

no... to wielkie miasto, wie pan?”

Wiedziałem, ale wyszedłem obiecując pozdrowić przyjaciela.

JAK ZOSTAŁEM NIEMCEM

Historia o tym, jak zostałem Niemcem ugodzi z pewnością w serce wielu spośród tych, którzy uważają, iż Polska jest piekłem świata, a tak wiadomo nie brak takich ludzi w naszym kraju. Historia ta świadczy bowiem dobitniej jeszcze niż poprzednia, że nie wszędzie na świecie pasjonują się nam w takim stopniu, jak nam się to wydaje.

Rozmawiałem mianowicie z młodym, lecz niezwykle energicznym i wygadany dziennikarzem syryjskim. Powiedział mi, że interesuje go szczególnie historia prasy na świecie, historia literatury, wreszcie historia szkół dziennikarskich. Żądał mi mnóstwo pytań, dotyczących wyższych szkół dziennikarskich w Polsce, na co — wstydząc się bardzo — nie potrafiłem mu szczegółowo odpowiedzieć, po nieważ, jak większość dziennikarzy, ukończyłem wprawdzie szkołę wyższą, ale bynajmniej nie dziennikarską.

Wymaglowawszy mnie solidnie na temat organizacji prasy w Polsce, nakładów, rodzajów wydawnictw itd. młody dziennikarz spytał wreszcie:

— A w jakim języku będzie pan pisał swoje reportaże z Bliskiego Wschodu?

— ?

— No, tak, myślę wprawdzie, że po niemiecku, ale może po rosyjsku?

— Na Boga, dlaczego? Spojrzył na mnie ze zdziwieniem.

— A może pan w ogóle nie będzie pisał? Ale przecież mówił pan, że jest dziennikarzem?

Zachowałem się nieinteligentnie — otworzyłem gębę ze zdumienia. Ale wreszcie zrozumiałem.

— Po polsku, drogi znawco literatur europejskich — powiedziałem.

Teraz on otworzył usta ze zdumienia.

Brano mnie często za Rosjanina, czasem za Czecha, najczęściej za Niemca. Zdarzało mi się też być Szwedem, Jugosłowianinem, Żydem.

Raz tylko kierowca samochodu w Kirkuku zapytał: — Pan jest Polakiem?

— Tak. Skąd pan wie?

— Pamiętam Polaków z czasów wojny. Pędzili samochodami jak zwariowani i wołali „cześć, cześć!” (powiedział to po polsku).

Moral z tego taki: są kraje, gdzie nie jesteśmy w centrum zainteresowania całego społeczeństwa. Naszych — z takim wysiłkiem montowanych — audycji radiowych także wcale tam nie słychać. Najwyżej pamiętają nas ludzie z czasów wojny.

Ale powoli, z trudem, lecz coraz skuteczniej wkraczamy tam za pośrednictwem najlepszych posłów: towarów z napisem „made in Poland”. I mam nadzieję, że za parę lat slyszyć słowo „Polska” ludzie będą wskazywali na fabryki, w których będą pracować i ubrania, które będą nosić.

Chyba, że i ja też się łudzę. Wiele jednak wskazuje, że — nie.



Okręty i barki na rzece Szat-el Arab powstałej z połączenia wód Eufratu i Tygrysu w ich dolnym biegu



Na przedmieściach irackiego portu w Basrze.

Jan Huszcza



Rys. Czesław Sadowski

5. Co sądzi Pan o swoich kolegach — satyrykach?

6. Czy „Odgłosy” Pana bawia? Uczą? Podtrzymują na duchu?

Ad 1) Coraz rzadziej!
Ad 2) Lubię wszystkie istoty, odznaczające się jakim takim poczuciem humoru.

Ad 3) Jak dotąd, nie. Grywam natomiast w brydża i — niekiedy — z żoną oraz synem w „kinga”.

Ad 4) Najbardziej przeszkadza mi w pracy świadomość, iż tyłu już było i tyłu jest znacznie ode mnie lepszych pisarzy satyrycznych.

Ad 5) Każdy orze jak może i jak mu na to okoliczności pozwalają.

Ad 6) „Odgłosy” oceniam dość krytycznie. Uważam, iż pod względem poziomu daleko im niekiedy do nieboszczyki „Kroniki”, której daleko było, niestety, do „Odgłosów” pod względem ilości czytelników. Zawsze zdawałem jednak sobie sprawę z tego, iż raczej tygodnik-magazyn ma większą w naszym niezbyt rozcztanym mieście szansę istnienia niż pismo literackie.

Przepraszam, że odpowiadam poważnie!

W związku z organizowaną przez „Odgłosy” akcją prezentowania łódzkich satyryków, redakcja zwraca się do Pana z prośbą o łaskawe odpowiedzenie na następujące pytania:

1. Czy bawi Pana pańska twórczość satyryczna?

2. Czy lubi Pan zwierzęta a jeśli tak, to jakie?

3. Czy gra Pan w „Kukuleczkę”? A jeśli nie, to w co?

4. W jakich warunkach Pan pracuje? Co Panu przeszkadza, a co pomaga w pracy?

HERBATA

Upał rozpuszczał tusz na rzesach kobiet, a psy wywalały jezory, zawadzając nimi o nagrzane płyty chodnika.

Maltretowany przez słońce, zatrzymałem się przed skrzyżowaniem ulic i powiedziałem schrypniętym głosem do przyjaciela:

— Jerzy, dłużej nie wytrzymam!

Jerzy ze zrozumieniem wyjął termos z teczki i nalewał mi do plastikowej zakrętki nieco zimnej herbaty. Wypiłem, mówiąc:

— Daj jeszcze!

Jerzy chętnie dołął.

Zaczęli gromadzić się ciekawscy, choć jako żywo nie byliśmy zagranicznym samochodem...

— Jerzy, napij się i ty, bo do kawiarni stąd jeszcze daleko...

Jerzy wypił także — wdzięczny, iż o nim pamiętałem.

— Wstawieni? — ktoś współczująco zapytał.

— Przecież widzisz pan, że to herbata! — odparłem opryskliwie.

— Herbata? Mów pan do mikrofonu takie kawałki! Wóde już na ulicy w biały dzień chlejecie...

Ludzie otaczali nas coraz szerszymi kłębami i w jego oczach dopiero teraz błysło szczere zainteresowanie.

— Kto tu wywołuje zbiegowisko?

— A ci dwaj! — skwapliwie wskazałem na nas. — Wóde gołą na pryncypalnej ulicy.

— Nie wóde, ale herbatę! — protestował Jarzy.

— Herbatę? — zdumiał się milicjant i w jego oczach dopiero teraz błysło szczere zainteresowanie.

— Tak, herbatę! — oświadczyłem.

— Proszę pokazać termos!

— usłyszeliśmy rozkaz. Podaliśmy termos. Człowiek w mundurze odkręcił i powąchał.

— Herbata! — stwierdził.

— Proszę za mną! — dodał w stanowczy sposób.

— Obywatelu wiadomo! Przecież sami mówicie, że to herbata!

— Mówię!

— To dlaczego nas zabicie?

— Bo kto to widział, żeby herbatę pić na ulicy?! Kpiny sobie stroicie ze społeczeństwa!



Pewien poeta służył z oddaniem ludziom i Muzie chciał rymowaniem.

Wiatry dmuchają, za oknem zima: w zziębniętych palcach obsadkę trzyma.

Coraz to lepsze powstają rzeczy, ale dokoła cisza aż skrzeczy.

Znalazł wydawcę — bo są szczęśliwcy — lecz potem nie mógł znaleźć nabywcy.

— Wiersze — mówili — potrzebne komu? — I szli na wódkę, albo do domu.

Chwalono w znawców kołach i kółkach, ale leżały książki na półkach.

To latach wszystko zbrzydło poecie, więc się na długo zamknął w klozecie.

Wziął trochę szlamu, mydła i kleju, dosypał kwiatków, liści szaleju...

Spitrasił w rondlach ten melanż hadki jako odmianę do ust pomadki.

Pomadkę swoim ochrzcił imieniem, odtąd je panie szepeją z wzruszeniem.

Odtąd w gazetach widnieje co dzień, w oknach je wystaw widzi przechodzień.

Odtąd pieniądze oraz uznanie ma drogerzystą na zawołanie.

I nawet owe książki z wierszami w mig się rozeszły między damami.

Zużyto bowiem ich papier gładki do zawijania tubek pomadki.



FIGLE SŁUCHU

Kiedy prosił o mieszkanie, rzekł mu: „Mamy was w planie!”
A on, choć to bardzo głupie, usłyszał: „Mamy was w d...”

FRASZKA ZWIERZĘCA

„To mi rozum, to mi głowa!”
— wydał osiół ryk uznania gdy sąsiadka bliska — krowa ścisłe jego była zdania.

Wspomnienie o generale

Pewnego ranka nie bez poważnej obawy, jak też będąc przyjeźdźcą, zjawilem się w ziemianie swego generała. Z głębokim smutkiem zameldowałem mu, iż jego kolega, dowódca dywizji generał Mogiła-Buńczuczny ponosił przed chwilą sromotną klęskę. Musiał wycofać się na odległość pięciu kilometrów, tracąc przytem 100 żołnierzy w za-

bitych i 346 w rannych oraz mnóstwo uzbrojenia i taboru.

Wbrew memu spodziewaniu, generał zatarł ręce, poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

— Dziękuję ci, kapitanie, za dobrą wiadomość! Zawsze mówiłem w sztabie, że Mogiła — Buńczuczny to karierowicz i nieuk! Teraz sami się przekonają!

JAROSŁAW M. RYMKIEWICZ

Dialogi mieszczańskie

Dekoracje były szaro-żółte, brudnożółte, szare. Brudnożółte były wyścielane, pluszowe fotele i ściany, zawieszane niezliczonymi portretami, portretkami, szkicami i kolekcjami fotografii. Szarożółte były kostiumy, suknie obfite i zdobione koronkami, trzewiki i surduły. Szare były lodygi i liście wspaniałych pomników mieszczaństwa, kaktusów i fukcji. Taką scenografię zaprojektował Władysław Daszewski. Takim ujrzelśmy na scenie teatru im. Stefana Jaracza spektakl „Lekkomyślna siostra”, wyreżyserowany przez Karola Borowskiego. Projekt Daszewskiego jest, bez wątpienia, przykładem idealnym, wzorcowym. Gdzież bowiem indziej, jak nie w szarożółtych, brudnożółtych ścianach saloniku mogłaby toczyć się akcja „Lekkomyślna siostra”? Ba, ale nie tylko „Lekkomyślna siostra”. Gdzież indziej mogłaby toczyć się akcja sztuk Kisielewskiego, Zapolskiej, Rittnera? Tak scenograf, projektując dekorację i kostiumy do jednej sztuki, zaprojektował jednocześnie oprawę plastyczną epoki literackiej. Nie dziwnego. Czas dość szybko przecięć zacierają różnice między dziełami i nasze oczy widzą już tylko konwencje. Te, dzięki której powstawały te sztuki, niegdyś drapieżne i okrutne i demaskatorskie. Niegdyś drapież-

nymi i demaskatorskimi nazywane. Dziś ktoś dorzucił zechce do „Lekkomyślna siostry” epitetu tak pięknie brzmiącego? Perzyński był zapewne komediopisarzem znakomitym. Znał rzemiosło, wiedział, czego żąda od pisarza teatru. Cóż, kiedy my wolimy źle napisane, pokraczne i koślawe sztuki naszych współczesnych. I bardzo nie lubimy Młodej Polski. To antypatia do przodków, którym zawdzięczamy zbyt wiele, a którym nic zawdzięczać nie chcemy. Naprawdę trudno odebrać minionej epoce tekst Perzyńskiego, tekst tak szary, szaro-żółty. Powiedziałem już, że „Lekkomyślna siostra” nie jest sztuką ni drapieżną, ni okrutną. Oglądając oczyma późnych wnuków jest czasem wesoła, a czasem po prostu nudna, nudna przerażająco, śmiertelnie. Jej dialog jest niezgrabny, sztuczny, nieznośny. Niegdyś charakteryzował mieszczaństwo. Dziś charakteryzuje przede wszystkim autora. O czym mówi się w mieszczańskim szaro-żółtym saloniku, o piątej po południu, przy herbacie? O wekslach, banknotach, podróżach i brzydkich czynach bliźnich, i dialog ciągnie się przez cztery akty, przez dwie albo trzy godziny, przez wieczność. Tak, „Lekkomyślna siostra” jest nudna. To wina autora. I jego zasługa. Tylko tak bowiem, operując dialogami pustymi i martwymi, uchwycić można było i oddać atmosferę mieszczańskiego salonu. Zasługa jednak będzie źle oceniona. Bo my, żyjący bądź co bądź w roku 1938,

bardzo nie lubimy dialogów mieszczańskiego salonu i szczerze gardzimy naszymi przodkami. Nad teatr Perzyńskiego przekładamy teatr Eugene Ionesco. To zestawienie nie jest przypadkowe. Bo Ionesco, ten by to wszystko, to samo i nie to samo, powiedział! W dwóch zdaniach, nie w czterech aktach. A w podtekście tych dwu zdań byłaby i drwina z mieszczaństwa i parodia tekstów tych, którzy z mieszczaństwa niegdyś drwili i drwina z parodii i jeszcze dreszcz przerażenia. My naprawdę wolimy teatr Eugene Ionesco. „Lekkomyślna siostra” nie mogły — w naszych oczach — uratować nawet propozycje Karola Borowskiego. Borowski chciał — przez przesunięcia nieznaczne, lecz ważne w rysunku postaci tytułowej — tekst sztuki Perzyńskiego pogodzić z rzeczywistością, z naszą współczesną wiedzą o psychologii. Nie wiem tylko, czy tekst pozwalał (pozwolił) interesującą propozycję do końca zrealizować. Bo tekst Perzyńskiego jest oporny. Zły, nudny, ale konsekwentny, konsekwentnie nudny. Perzyński nie pisał dobrych ról. Pisał role — schematy. Tak to my przynajmniej widzimy. A spróbujcie coś zmienić w schematach! To się udać nie może. I Alleji Zomer, grającej rolę Marii, nie udało się przełamać opornego tekstu. Grała wbrew reżyserowi, zgodnie z Perzyńskim. Szkoda. Bo zamiłował Karol Borowski był tak ciekawy. Że załowa należy, iż został udaremniiony przez autora i przez aktorkę.

To wszystko co napisałem powyżej nie znaczy, by „Lekkomyślna siostra” nie mogła liczyć w Łodzi na powodzenie, na oklaski gorące i liczne. Nie tak liczne, rzecz jasna, jak te, które otrzymał poprzedni spektakl, wyreżyserowany przez Karola Borowskiego. Nic dziwnego, Perzyński nie jest naszym współczesnym. A czas nie pokrył jeszcze jego tekstów

patyną, nie uczynił pisarzem staroświeckim. Próba zachowania dystansu nie mogła się więc powieść. A brak tego dystansu wyraźnie przeszkadzał aktorom. Z tych trudno by, poza Januszem Mazankiem, znakomitym w każdym gęście i słowie, kogoś wymienić. Mazanek, używając bardzo oszczędnych, rzec by się chciało, nowoczesnych środków aktorskich,

stworzył studium psychologiczne, na pewno warte bardziej wnikliwej oceny. Niestety, zawiódł Stanisław Łapiński, prezentując nam kilka chwytów niewątpliwie popularnych, lecz nie najwyższej próby. Zawiódł też Jerzy Walczak, krzykliwy, zbyt krzykliwy. Dekoracje, te były znakomite! Żółte, szaro-żółte, szare,



„Lekkomyślna siostra” W. Perzyńskiego w Teatrze im. Jaracza. Reż. Karol Borowski, scenogr. Władysław Daszewski, scena z aktu III. Tereza Marecka (Helena Topolska), Stanisław Łapiński (Topolski)

Fot. FRANCISZEK MYSZKOWSKI

Z ADASIEM NA TY

(Dokończenie ze str. 1)



Fot. S. Michałowski

nazywają je fachowcy. Do tych ścian miało być do-
budowane moje rodzeń-
stwo, dalsze budynki. Pla-
ny zostały zatwierdzone
przez Ministerstwo, ale jak
zwykle realizacja szwanku-
je. W tym wypadku są
trudności z wyburzeniem
małych, czynszowych ka-
mieniczek. Więc stoję tak
i marzę.

— Dlaczego marzę? —
zapytałem wzruszony.

— Bo znowu realizacja...
Kosztowałem około 8 mi-
lionów zł. Mam przeszło
półtora miliona cegły peł-
nej, 256 ton lepszego i 210
ton gorszego cementu. Po-
nad 25 tysięcy bloków „Si-
perex”. Do budowy spro-
wadzono specjalny, 45-to-
nowy dźwig, który podcią-
gał na wyższe kondygnacje
płyty prefabrykowane. Bu-
dowano mnie, dużo pisano
o mnie i wreszcie nie zbu-
dowano tak, jak należy.
Można powiedzieć, że „wy-
kończono mnie”. Kaloryfe-
ry nie grzeją, marzę więc
od środka, a ponieważ nie
jestem otynkowany, marzę
i od zewnątrz.

— Widziałem na parterze
rozpoczęte prace...

— Po pierwsze — parter
jest usługowy, a nie miesz-
kalny. Jak mi wiadomo,
miał się tam mieścić wiel-
ki salon meblowy, gabinet
kosmetyczny, fryzjer, oraz
sklep czy zakład z koszu-
lami Spółdzielni im. Wró-
blewskiego. Tak było w
projektach. Od tego czasu
jak panu wiadomo, zaszły
w Polsce poważne zmiany.
Zamiast gabinetu kosmety-
cznego ma być ultranowo-
czesna, supermechaniczna
pralnia typu „włoskiego”.
Taka, co to przynosi się do
niej bieliznę, a samemu
idzie się na małą kawę i
czyta gazetę, a za 30 minut
otrzymuje się paczuszkę z
czystą, wyprasowaną bie-
lizną. Jak dotąd nie ma ani
ultra, ani super, ani nawet
ręcznej pralni, a cały par-
ter stoi bezużyteczny.

Plany elewacji całego bu-
dynku ma DBOR, ale on
nie kwapił się z rozpoczę-
ciem robót. Wobec tego
Centrala Handlu Meblami,
jeden z użytkowników par-
teru zaczęła sama na wła-
sna rękę wykańczać par-
ter. Biały marblit, który
zrobił ze mnie sklep z wę-
dlinami, nie był wcale u-
mieszczony w ogólnych
projektach elewacji. Wi-
dząc co się dzieje, Rada
Narodowa wstrzymała pra-
ce. Ot, co... A ja marzę...
Mnie jest przykro, że niby
to protoplasta i taki nie-
wydarzony. A jaki wstyd
przed ludźmi? Jakby nie
było, ma się te sześć pię-
ter. A tu lokatorzy mieszkają
na szóstym piętrze
muszą z wiaderkiem na
śmieci schodzić na dół. Pro-
jekt zsypana na śmieci był,
tylko inwestor go nie wy-
konał. Może akurat źle się
czuł, zapomniał? Nie wiem.
To samo z piwnicami. Za-
łożono tam instalacje na
gole mury. Rezultat taki, że
instalacja zaraz odpada.
Nadmiar złego piwnice za-
lane były wodą. Potem
wszyscy krzyczą, że „Adaś”
zły, że „co to za dom!” My-
śli pan, że to przyjemnie
tak się nasłuchać? A ja
chcę nie chcąc wszystko
słyszeć. Ściany mają uszy —
zwłaszcza w „Adaś”.

Czasami bywa i odwrot-
na sytuacja. Ludzie mieszkają
na dolnych piętrach
muszą zanosić bieliznę na
strych — gdyż tam mamy
pralnię i suszarnię — ale
winda się popsuła. Z tymi
windami też przedziwna
sprawa. Częściej się psują,
niż są dobre. Mówi się, że
trzeba mieć chody, aby do-
stać mieszkanie w „Ada-
ś”u. I słusznie. Bo jak
winda nawali, to rzeczywi-
ście trzeba mieć „chody”,
aby kilkakrotnie zejść i
wejść na szóste piętro. Ale
na miłość boską, czy to
moja wina?

A w ogóle to ja już je-

stem przestarzały. Aż wstyd
się przyznać. Projektowano
mnie w 1954—55 roku. Mi-
mo że planowano wtedy
wzrost stopy życiowej, glo-
balnie i na głowę, nikt nie
przewidział, wówczas, że w
roku pańskim 1958, ludzie
będą mieli w Polsce własne
samochody. Nie zaprojekto-
wano garaży, a ja muszę
wystuchiwać dodatkowej
porcji cierpkich uwag o
nieudolnym budownictwie.
Ludzie krzyczą,
sarkają, a jak komuś od-
powiem, że jestem ofiarą,
błędem przeszłości, to tyl-
ko się roześmieje i powie:
— Ty, „Adaś”? Gdybyś
chociaż miał inne imię, to
jeszcze można by uwierzyć,
ale „Adaś”?

ŁUDZIE

Sprawdzili się tu w 1957
roku. Rozgorączkowany, u-
szczęśliwieni, niecierpliwi
dnia kiedy będą mogli za-
mieszkać. Zajęli 54 mie-
szkania jednopokojowe i 34
mieszkania dwupokojowe.
Wprowadzili się jak do „Zie-
mi Obiecanej”. Wybijali
szyby przy przewodach
kuch, psuli windy, „oblewa-
li” nowe mieszkania. Lu-
dzie, żywi ludzie. Niedługo
urodziło się pierwsze dzie-
cko. Syn aktora z Łódzkiej
Operetki, któremu pan Jan
Padkowski nadał moje
imię — Adaś. To było bar-
dzo przyjemne, wzruszyłem
się na chrzcinach.

Ludzie. W każdym mie-
szkaniu inni, mają inne
zmartwienia, inne radości.
Nie wiem czy jest jeszcze
drugi dom w Łodzi, któ-
ry miałby tak różnorodny
skład mieszkańców. Kon-
duktor, prokurator, aktorzy,
renciści, pracownicy kwar-
terunku, robotnicy z prze-
różnych fabryk, lekarze, ad-
wokaci, pracownicy rad na-
rodowych, aktywiści społe-
czni i nawet jeden cenzor.

Mieszkają u mnie ludzie
starzy i młodzi. Najstarszy
lokator, rencista Witold
Kraszewski — wnuk sław-
nego pisarza. Pracownica
Łódzkich Zakładów Włókien
Sztucznych — Wacława Ku-
bicka. Na szóstym piętrze
mieszka pani Jadwiga Ken-

da — solistka Operetki Łó-
dzkiej, Jadwiga Abbe —
aktorka z Teatru Ziemi
Łódzkiej, pracownik Pol-
skiego Radia pani Jadwiga
Bratkowska, lekarz Adam
Smelczyński, wiceministr o-
limpijski w strzelaniu do
rzutków.

Każdy z nich ma swoje
kłopoty. Np. pan Smelczyń-
ski — oboje z żoną są sto-
matologami. W małym
pokoiku stoi fotel i narzę-
dzia do pracy. Czekają na
pacjentów, ale komu chce
się wchodzić na szóste pię-
tro, zwłaszcza jak go bolą
zęby? Marzą więc państwo
Smelczyńscy o pierwszym,
drugim piętrze.

Jestem tak jak każdy in-
ny dom. Mam takie same
radości i smutki. Tak samo
jak i gdzie indziej u mnie
się pije, z tą małą różnicą,
że ulubioną zabawą pija-
nych jest wielogodzinne
jeżdżenie windą z parteru
na szóste piętro i z powro-
tem. Tak samo jak gdzie in-
dziej na klatkach schodo-
wych raz na tydzień ktoś
wybije szybę i tak samo
jak gdzie indziej nikt nie
przyzna się do tego. Nic
nowego pod słońcem. Na
moich murach dzieci wypisują
kredą swoje opinie o
kolegach, tak samo jak
gdzie indziej wprowadzali
się do mnie dziećmi lokato-
rzy, z tym, że szybciej ich
eksmitowano. Jestem jed-
nym z łódzkich domów. Ze
teraz nowy? I ja będę prze-
żywał swoją starość. Ludzie
się zmieniają, przeprowa-
dzą, wymienią albo sprze-
dadzą mieszkanie. Ja zo-
stanę, jak zawsze samotny
— „samotność, coż po lu-
dziach”.

— Panie „Adasiu” skąd
ten pesymizm? Trzeba by
panu jakiegos towarzystwa.
Może jakąś „Ewę”? — za-
proponowałem.

— Nigdy, przenigdy —
powiedział pan „Adaś”. Zda-
je pan sobie sprawę z tego
co by było? Jeszcze jeden
grzech pierworodny i je-
szcze jedno wygnanie z ra-
ju.

— Boże bądź miłościw
mnie grzesznemu! —

JAN KOPROWSKI

Wspólny niepokój

Za ścianą mieszka mój przyjaciel.
Wiem, że jak ja nie może zasnąć,
Trapią go takie same myśli,
do mych podobne niepokoje.

Chodzi po izbie bezustannie,
do ksiąg zagłada, eoś notuje.
I ja to samo czynię obok
i nie znajduję odpowiedzi.

Jak żyć, jak pisać, jak ocalić
myśl i uczucia sercu bliskie.
Dokąd się udać i do kogo
w epoce, która nie zna siebie.

Cieniutką ścianą oddzieleni
jednakże przeżywamy chwile.
Ale nazajutrz nikt nie pozna,
że nocą oka-śmy nie zmrzyli.

Pragnienie

„Je dormirai apres la guerre”

Nazajutrz po wielkiej wojnie
w pierwszy pokoju, dzień
położę się i spokojnie
będę smakował sen.
Dni kilka prześpię, tydzień
a może nawet dwa.
Zamknę się. Nikt nie przyjdzie.
Będziemy: sen i ja.

Tak mówił w czas bezsenny
myślami biegnąc w świat,
na którym się wyspi. Nie zdążył.
Na polu chwały padł.

R ó z a

W jednej z gazet izraelskich uka-
zała się fotografia piętnastoletniej
dziewczynki, poszukującej swoich
rodziców, która nie zna swojego
imienia, ni nazwiska. Znalaziona
w getcie warszawskim przez Pola-
ka, który się nią zaopekował, zo-
stała następnie wraz z transportem
sierot wywieziona do Izraela.
Przybrała sobie imię Róża.

(Wiadomość z prasy)

Kto mi może powiedzieć: kim
jestem,
czyja córka?
Z jakiego zabrano mnie domu,
piwnicy
podwórka?

Gdzie się urodziłam, w jakim
mieście,
z jakiej matki?
Czy chętnie bawiłam się lalkami,
zbierałam
kwiatki?

Kiedy to było: wiosną czy jesienią,
w mroźny grudzień?
Jak się zwałam, co mnie odnaleźli,
dobrzy ludzie?

Gdzie są teraz moi rodzice,
czy żyją?
Czy na wieki już będę Córka
Niczją?



odgłosy ?
sł.

NIKOS CHADZINKOLAU

Twój dom

Obląkana matka

Jedna staruszka
z garbatą jak swoje plecy
świeczką
ciągnąc pół polamane nogi
szukała swego syna

Jedna staruszka
w ciemności pożaru
pyta rękami
ścierńalych ścian
„czy nie widzieliście mego syna”
one wała się milcząc
pyta wargami
spalonych kamieni
„czy nie widzieliście mego syna”
one rozkruszają się milcząc

Jedna staruszka
chodzi po wyjąłym swoim głosie
topi się w brzdach swojej twarzy

kropelki świecy
oświetlają rany ziemi
jak gwiazdy rany nieba

Jedna staruszka

jak długo matki
szukać będą swolch synów



Twój dom
— stupodkowowa róża
bardzo kocha światło
blyszczy w słońcu
jak słońce

pod jego piórami
leży splaszczony kamień
siedzą przychodzę
maluję na nim przyszłość

Twój dom
— kłosomorze zboża
bardzo kocha kwiaty
pachnie w ogrodzie
jak ogród

Ten obraz

Na skrzyżowaniu dymów
spotykają się
niewstrzymane oddechy

domy płamią krajobraz
kaluże rosną

gniew kamieni
nie opuszcza ciał

umarli
wyciągają spod ziemi
zakrwawione chusteczki

ten obraz
powinien wisieć na niebie

* Autor jest młodym Grekiem,
słuchaczem IV-go roku studium po-
litolistycznego na Uniwersytecie Po-
znańskim. Wiersze, które drukuje-
my, są próbą utworów pisanych po
polsku.



W Moskwie otrzymałem z Polski przesyłkę: Mariana Dubieckiego szkic historyczny „Osadcy ziemi Mandżu” o Niceforze Czernihowskim i jego dziwnym państewku zbudowanym na gruzach Albazina. Marian Dubiecki polski historyk drugiej połowy ubiegłego stulecia, zesłany na Syberię za udział w Powstaniu Styczniowym (był sekretarzem Romualda Traugutta) — na zsyłce zetknął się z sensacyjną historią Czernihowskiego i Albazina. Tutaj w Daurji Nerczyńskiej, nad strumieniem Durasuń i w Irkucku w latach 1868—1874 napisał swój szkic. Wydawało mi się, że otrzymawszy go „Pana Boga złapałem za nogi” i teraz będzie mógł już jechać prosto na Daleki Wschód, odwiedzić tajemniczy Albazin. Dubiecki tropił przecież ślady Czernihowskiego prawie przed stu laty, wówczas, gdy były one świeższe niż dzisiaj; pewne fakty może nawet słyszał bezpośrednio od potomków Czernihowskiego, bo jak sam pisze w swym szkicu:

„Potomkowie Czernihowskiego Nicefora przetrwali w Daurji Nerczyńskiej dwa stulecia. Ostatnia latorość Czernihowskich po kądzieli żyła jeszcze około 1872 roku w okolicach Nerczyńska”. A przecież Dubiecki właśnie w tym czasie przebywał także w Daurji Nerczyńskiej.

Szybko jednak przeminął mój entuzjazm. Zaczęło się od drobnych wykrytych u Dubieckiego nieścisłości. Dwukrotnie powołuje się on na materiały zebrane w dziele Szczukina pt. „Podróż na Bajkał”, wydany w 1844 roku. Tymczasem „Podróż na Bajkał” napisał nie Szczukin, ale Parszin.

Według zebranych przeze mnie materiałów Nicefor Czernihowski zabił wojewodę Obuchowa w 1665 roku. Zabił dlatego, że Obuchow zgwałcił i porwał mu żonę. Tymczasem Dubiecki pisze, że stało się to w 1660 roku, a ofiarą gwałtu i porwania była siostra Czernihowskiego.

Rok 1660 czy 1665? Siostra czy żona?...

Mijały dni. Przestały mi wystarczać spotkania ze starymi książkami, kolekcjonerami, zbieraczami starożytności. Nastąpiły spotkania z pisarzami i rozmowy o literaturze. Ze wzruszeniem wspominam szerepiał twarz Michała Świętłowa. Ięz to razy, jeszcze w szkole, recytowałem jego przepiękną, melodyjną „Grenadę”. Kiedy zwierzałem mu się ze swej wariackiej bezużytecznej pasji poszukiwania śladów Czernihowskiego, mówił o gonitwie za jakimś urojonym, tajemniczym Albazinem — na jego twarzy spotkałem przyjazny uśmiech zrozumienia, a nawet jakby czułości starszego, mądrzejszego kolegi. Powiedział mi, że jeśli chce pisać lepiej i piękniej, powinienem chronić w sobie te wszystkie drobne, kruchości pasje urojenia, które może będą się wydawały śmieszne, niepoważne — lecz przecież właśnie one, ich świeżość i młodzieńczość, a przede wszystkim ich bezinteresowność, tworzą pisarza. I potem dodał z za-

lem — że jak mu się wydało — w nim wypaliło się już wiele z tych pasji. A kiedy ich nie staje, zastępuje je — niestety — rutyna.

Pomyślałem o jego „Grenadzie” — step, jadący w bój żołnierze, z których jeden śpiewa piosenkę o jakiejś wymarzonej, słonecznej Hiszpanii. Czy piękno

ZBIGNIEW NIENACKI NA TROPIE Tajemniczego ALBAZINA

tego wiersza nie zawiera się i w tym, że jego bohater śpiewa nie o wolnej Ukrainie, za którą idzie w bój, ale o dalekiej, nigdy mu nie znanej Grenadzie? Czy przez tę piosenkę nie wyraża się tęsknota człowieka za czymś dalekim, nieosiągalnym, nieznanym? Bezinteresowna miłość do jakiegoś nieokreślonego piękna, do czegoś, czego się nie zna, a co istnieje w marzeniu, w tęsknocie, w piosence?

A przecież nie każdy poeta zdaje się rozumieć podobne uczucie. Poeta Kulemin z „Komsomelskiej Prawdy” powiedział mi: „Jesteście taki młody człowiek, a interesuje was świat stary, zmurszały. Albazin? Nielepiej jechać wam na ugory, tam, gdzie rzedł się nowy człowiek, gdzie w trudzie hartują się nowe charaktery? Spójrzcie na Świętłowa. Jest chyba dwa razy starszy od was, a jednak odwiedził ugory i napisze teraz sztukę teatralną”.

Nie pojechałem „na ugory”, ale do Albazina na Dalegi Wschód. To była właśnie „Grenada maja” i może dlatego Świętłowa pojawił mi się lepiej i głębiej.

Historia Nicefora Czernihowskiego znana nam z dokumentów historycznych — zaczęła się dopiero na Syberii. Co działo się wcześniej? Jakie były wcześniejsze losy budowniczego twierdzy nad Amurem? W tej sprawie pozostają tylko domysły i mała wzmianka, że „w Roku 1632 z miasta Moskwy przybył do Jenisejska na Syberii, Polak, Roman Czernihowski, wraz z rodziną”. Synem owego Romana był Nicefor, rosyjskie źródła wspominają go jako Nicefora Romanowicza.

Z początku nasunęło mi się wiele wątpliwości. Czyżby w XVII wieku zsyłano Polaków na Sybir? Okazało się jednak, że jeszcze w czasach Iwana Groźnego, gdzieś około 1580 roku wziętych do niewoli Polaków, Litwinów, Inflantczyków i Szwedów przekazywano na Syberię i wcielano do pułków kozackich, które miały za zadanie kolonizować tamtejsze dzikie ziemie. Niektórzy Polacy doszli nawet do godności pułkowników kozackich. Wiadomo mi także o dwóch traktatach cara Aleksego Michajłowicza z Polską, czytałem carską „gramotę” z roku 1667 zwróconą do władz jenijskich, aby zwróciły Polsce przekazane im przez cara jakieś zabrawane w czasie wojny w Polsce i Litwie — polskie dzwony kościelne, narzędzia liturgiczne i „bumagi”, był

może książki lub dokumenty. Czy dokonano tego — nie wiem. Jestem przekonany, że gdyby cierpliwie pogrzebać w starych archiwach Jenisejska i innych miejscowości na Syberii — odnalazłoby się niejedną interesującą „bumaga” polska z pierwszej połowy XVII wieku.

Czy ów Roman Czernihowski, ojciec Nicefora przybył do Moskwy na początku XVII wieku w orszaku pierwszego Dymitra Samozwańca i jego żony, polskiej carowej, Maryny Mniszchówny? A może był w obozie Dymitra II Samozwańca i wraz z Sapiehą i Lisowskim oblegał Troice — Siergiejewską Lawrę położoną 70 km od Moskwy, potem zaś z oddziałami Zółkiewskiego wkroczył w mu-

na Troicki Klasztor, dzień i noc obrońcy klasztoru odpierali szturm Polaków. Wreszcie Polacy zaczęli robić podkop i zakładać miny pod Piatnicką Basztą. Co zrobili mnisi? Oczywiście zrobili „wycieczkę”. Ich Kmicie albo Babinicz nazywający się po rosyjsku Nikon Szyno własną ręką wysadził... i tak, i tak dalej. Wreszcie Polacy jak niepyszni odstąpili od oblężenia Monasteru. Obrona Troickiego Monasteru obfitowała w sceny „toczka w toczkę” identyczne ze scenami obrony Jasnej Góry, „tak że w zależności od nastroju radzę czytać opisy obrony jednego lub drugiego klasztoru. Oczywiście po takiej lekturze ma się na dłuższy czas dosyć wszelkich powieści hi-

Rublowa, stałem przed dziełem, które bogactwem kolorów przewyższa obrazy wspaniałych mistrzów woskiego Odrodzenia — i pomyślałem, że tuż obok u grobu założyciela klasztoru, Siergieja Radoneżskiego, pocałunkiem krzyża zawierall przymierze wielki książę Wasill i Dymitr Szemiakoj. A po niespełna czterech latach Dymitr schwytywszy Wasila kazał mu wylupić oczy. Cóż znaczą przyrzeczenia i przysięgi?...

Trzech aniołów w obrazie Rublowa spogląda słodko, jagodnie, miłosiernie. W płnicach Monasteru młody Piotr I torturował i badał stronników swej siostry Zofii, żeby ich potem na placu przed cerkwią powiesić wymyślnie, do góry no-

wszystko to wraz z wyrażającą się doskonałością proporcji cerkwią Zosimya tworzy jedyne w swoim rodzaju przepiękny zespół architektoniczny. Dopelnia widoku wspaniała jadalnia, na zewnątrz zdobna kolumnami i wieloma kutymi w kamieniu ornamentami; nad klasztorem góruje wysoka jakby złożona z pięciu pięt — dzwonnica. Jej zwężający się ku górze kształt, iliczone ozdóbki w kształcie waz kojarzą widok jej z wymyślnym tortem czekoladowym lub z wieżą Pałacu Kultury i Nauki. Może właśnie tutaj, w takich strzelistych dzwonicach współczesni architekci szukali dla siebie natchnienia, gubiąc poczucie czasu i rzeczywistości, okazując lekceważenie dla nowych potrzeb i nowych gustów, które przyniosły z sobą następne epoki?...

Dookoła Lawry grube mury i potężne baszty. Tak kościół prawosławny chronił swe bogactwo, murami i armatami umacniał swą potęgę. Lecz silniejsze od żelaza i kamienia były zawsze: świątynia, sztylet, trucizna. Nie ludźmy się — te przepiękne i wspaniałe dzieła sztuki architektonicznej powstawały z rozkazu tyranów i najczęściej dla upamiętnienia ich udanych, krwawych zezw. Artysta co najwyżej przemyczał w dzieło swą prostą, ludzką treść, a niekiedy własną tragedię. Lecz choć dzieła ich były niekiedy robione na rozkaz, na zamówienie — czy są przez to mniej piękne? ...A Maryna Mniszchówna wydała mi się brzydka.

d. c. n.



ry Moskwy? Jedno jest pewne — stało się to w owych burzliwych i barwnych czasach Samozwańców i ich żony, Maryny Mniszchówny. Powiedziano mi że w muzeum Troicko-Siergiejewskiej Lawry zobaczyć można portret Maryny Mniszchówny. Łódzki pisarz Władysław Rymkiewicz tworzy o niej

sjorycznych — czego każdemu życze.

Oczywiście, pojechałem odwiedzić Troicko-Siergiejewską Lawrę. I doznałem wrażenia jakbym znalazł się w bajkowej krainie malutkich domków, domeczków, przędznie malowanych cerkwi, cerkiewek, kapliczek, dzwonic, zdobnych w mi-

gami. Piękno starych murów, piękno złożonych lkon nie czyniło nikogo lepszym i szlachetniejszym.

Troicki Sobór, Cerkiew Duchowska zbudowana rękami pskowskich mistrzów, pięciokopułowy Uspeński Sobór postawiony tu za czasów Iwana Groźnego —



powieść historyczną i twierdził — Maryna była tak piękna, że z pewnością znalazłaby w naszych czasach Miss Polonią.

Troice-Siergiejewska Lawra — to taka „rosyjska Częstochowa” wraz z jej rozreklamowaną obroną, z tym oczywiście, że Częstochowę oblegali Szwedzi, a Troice-Siergiejewską Lawrę — Polacy. Zresztą, wszystko inne było do tego stopnia podobne, że z powodzeniem można by wydać Sienkiewiczza „Potop” zmieniając Szwedów na Polaków, klasztor Jasnegojeńki na Troicki Monaster — a książka nie by na tym nie straciła.

Obległy więc Troicki Monaster wojska polskie w przeważającej liczbie 15—20 tysięcy doskonale uzbrojonych żołnierzy, posiadających setki dział. W Monasterze zaś broniła się znokoma garstka mnichów, którzy potrafilł jednak zaskasać swe habity i bronić się na murach. Ukryło się w klasztorze trochę rosyjskiego rycerstwa i wielu chłopów, którzy okazali niezwykłą odwagę w walce z Polakami. Dzień i noc polskie armaty pluły ogniem

sterne wzory. Pięć kopuł Uspeńskiego Soboru wyglądało jak grupa muchomorów. Zapewne te właśnie barwne i rzucające się w oczy muchomorzy nadawały widokowi Troicko-Siergiejewskiej Lawry ów bajkowy charakter. U podnóża muchomorów chcieli się widzieć brodatych krasnali — napotkałem tylko brodatych i bardzo przystojnych mnichów w czarnych szatach i czarnych welonach.

W dwóch dużych cerkwiach odbywały się nabożeństwa, po zloczeniach ścian i „ikonostasów” skapywało światło świec, drżących od smutnego żalosego śpiewu. Między cerkwiemi ciępliwie dreptała duża kolejka do jakiegoś cudownego źródła. Piękno uderzało tu z każdego zakątka, z każdej ściany. W nagromadzeniu tego przepychu kształtów, barw było jakby jakieś okrucieństwo — dlatego może natychmiast przypomniły mi się te wszystkie tragiczne historie związane z sędziwymi murami klasztoru. Patrzyłem na umieszczoną w „ikonostasie” Troickiego Soboru doskonałą kopię „Troicy” Andreja

KAROL BOROWSKI Granice krytyki

W naszej dyskusji na temat stosunków między krytyką a teatrem zabiera dziś głos dyrektor Państwowego Teatru im. Stefana Jaracza.

Wypowiedź Michała Orlicza była interesująca. Wywołała sprzeciw. Kwestionowano słuszność jego zarządzeń. Domagano się konkretyzacji jego stanowiska: „Powiedz, kogo masz na myśli” — pisało Kogo Orlicz miał na myśli, jest, moim zdaniem, obojętne. Ważny jest stan rzeczy, który skłonił go do napisania artykułu, artykułu, jak mi się zdaje, słusznego, skoro kazał myśleć, skoro kazał zastanawiać się nad tym, co się dzieje. A dzieje się nienajlepiej i to nie tylko w Łodzi, ale wszędzie...

Wszystko się zmienia, zmieniają się wartości, zmienia się kąt patrzenia; zmieniają się warunki polityczne, ekonomiczne, społeczne, zmienia się rola sztuki w ogóle, a teatru w szczególności. Inna była rola teatru przedwojennego, inny był a więc i rola krytyki uległa zmianie. Dawniej krytyk reprezentował wyłącznie siebie i dlatego rola „osrodka”, z którego promieniowała wiedza o pisarzu, o reżyserze, o aktorze stawała się „możliwością”, nie zawsze przyjemną dla odbiorcy — człowieka teatru, ale coż było robić? Jeżeli krytyk był człowiekiem światłym, no... i obdarzonym talentem (to chyba najważniejsze), czytano go skwapliwie, liczone się z jego sądaniami, a nawet „dygotano” przed ukazaniem się jego recenzji. Pomiędzy dyskretnym milczeniem wypowiedzi niektórych aktorów i reżyserów, że im nie zależy na recenzjach. Wierzę mi, że je czytają. Jeżeli nie w gronie kolegów, to u siebie w mieszkaniu, cichaczem — tak w gruncie rzeczy wygląda sprawa tych najbardziej „niezależnych”.

Dzisiaj czasy się zmieniły. Krytyk sztuki czy recenzent teatralny nie reprezentują wyłącznie samego siebie,

Jest reprezentantem pewnej grupy politycznej czy społecznej, grupy, której program stwarza określony stosunek do takich zagadnień, jak zagadnienie teatru i z nim związane zagadnienie pisarza, aktora, scenografa czy reżysera. Dlatego, sądzę, że odpowiedzialność krytyka urosła do wymiaru odpowiedzialności społecznej za to, co pisze i w jakim kierunku idą jego wymagania w stosunku do teatru jako instytucji społecznej. Bo dużo się mówi o odpowiedzialności aktora, reżysera scenografa — mnie się zdaje, że taka sama odpowiedzialność ciąży na sprawodawcy teatralnym. Dlatego tw. „wymigiwanie się” dobrym kalamburem byłoby właściwe, i to nie zawsze, w piśmie humorystycznym, nigdy w dzienniku, który reprezentuje jakąś zbiorowość, jej stanowisko polityczno-społeczne.

Dalsze teatry jest i nie może nie być teatrem walczącym, jego programem muszą kierować hasła postępu, humanizmu i walki o lepsze jutro człowieka. Taki teatr ma prawo wymagać krytyki rzetelnej, pozbawionej frazesów, sloganów i wątpliwej wartości dowcipów. Ale z drugiej strony należy wziąć pod uwagę, że pisma codzienne, wychodzące w niewielkich rozmiarach, siłą rzeczy niewiele miejsca mogą poświęcić rubryce „teatr”. Więc nie należy się dziwić, że rola krytyki jest zawężona, ograniczona, chociażby właśnie z tych materialnych względów. Aktorzy zbyt wiele wymagają od krytyki, a krytyka od aktorów, którzy znouu są tak często zależni od jakości tekstu, który wypowiadają. Dlatego zbliżenie krytyki do warsztatu teatralnego jest dobrą i skuteczną drogą, która pozwoli uniknąć wielu nieporozumień, utrudniających bezspornie życie i aktora, i sprawodawcy teatralnego. Proponuję współpracę, a cel jest nie byle jaki — przyszłość naszego teatru

Pustynne szczyry



— Ależ, pułkowniku, to czyste szaleństwo! Kręciłem się wczoraj cały dzień po oddziale M. O. 4 Dowództwa i słuchałem — jeśli powiem, że ze zdumieniem, to będzie to określenie łagodne. Czy to wojna, czy zabawa w Indian? Jak to sobie ci chłopcy wyobrażają? Z tego co słyszałem, doszedłem do wniosku, że chcą w kilkuset ludzi uzbrojonych nieledwie w procesie opanować całą Cyrenajkę od Benghazi po Tobruk, pozbawić Rommla zaplecza i spodziewają się pewnie, że ci na froncie po prostu umrą ze strachu!

Pułkownik Shan Hackett, szef nowoutworzonego oddziału koordynującego działania na tyłach wojsk niemiecko-włoskich w Afryce Północnej, młody, niski kawalerzysta, roześmiał się.

— Nie jest może aż tak źle, majorze. Rozumiem, że pan przyzwyczajony jest do solidnego planowania, szczegółowych przygotowań — stara, dobra szkoła L. R. D. G. W. M. O. 4 mamy istotnie zbyt wielu entuzjastów, którzy sądzą, że pobożne życzenia mogą zastąpić gruntowne przygotowania do akcji. Ale sama myśl jest zdrowa. Tak — myśl jest dobra. I dlatego akceptuję ją. Może i pan wzięby udział w którejś z tych akcji? Pańska znajomość arabskiego, umiejętność obchodzenia się z Arabami, bardzo by się przydała. Przecież i pan jest entuzjastą działań na tyłach

nieprzyjaciela — raport pański czytałem z wielką uwagą.

— Nie bardzo się orientuję w całokształcie planu. Wczorajsza gadanina była ogromnie chaotyczna, a musi pan pamiętać, że pięć miesięcy siedziałem w pustyni odcięty od wszelkich wiadomości.

— Pamiętam. Spodziewamy się uderzenia Rommla na VIII Armię pod El Alamein. Chodzi o zdeorganizowanie mu zaopatrzenia w czasie bitwy, a może i coś więcej. Zamierzamy uderzyć tego samego dnia — a raczej, mówiąc ściślej, tej samej nocy, w sześciu różnych miejscach, rozrzuconych na przestrzeni 400 kilometrów. Tobruk, Barce, Derna, Benina, Jalo i Benghazi. Uderzenie na Derna, Beninę i Barce wykona L. R. D. G. Może weźmie pan udział w którymś z nich? Szwadronem działającym na Barce dowodzi Jake Easonsmith, pański przyjaciel. Akcję na Jalo wykonuje oddział S. D. F. 1). Na Benghazi idzie Stirling z S. A. S. 2) Na Tobruk komandosi Haseldena. Jeśli się uda, to „noc X” będzie dla Rommla nocą koszmarną. Zapłoną samoloty na lotniskach. Z dymem pójdą zapasy benzyny. Opanujemy port w Tobruku. Uwolnimy i uzbroimy tysiące naszych jeńców w obozach rozrzuconych po Cyrenajce i rozpoczniemy działania dywersyjne na tyłach Afrika Korps. Może to bardzo poważnie zaważy na przebiegu bitwy, do której Rommel się szykuje. Wprowadzi zmieszanie w jego sztabie. Zmniejszy jego rezerwy materiałowe. Zwiąże odwody, a może i zmusi do skierowania części oddziałów z frontu na tyły. Uzyskamy to wszystko minimalnym nakładem sił i środków — kilkuset ludzi, trochę samochodów, trochę lekkiej broni. Nie wydatkujemy ani jednego samolotu bojowego, ani jednego czołgu — tak potrzebnych na froncie. A możemy zniszczyć wiele samolotów i uniemożliwić względnie odciągnąć z frontu wiele czołgów. Warto próbować. Stoimy w przededniu bitwy o Afrykę, o Suez, o naftę arabską. Garść entuzjastów może przesądzić o wyniku tej bitwy.

Weźmy, majorze, pańską akcję pod El Kwubba. Z dymem poszło pół miliona litrów benzyny. W akcji brało udział w kilkunastu. Pozbawiliście czołgi Rommla paliwa na okres ponad miesiąc. Oczywiście, jego czołgi nie stanęły, były inne zapasy, był dowóz z Włoch. Ale szereg takich akcji równocześnie i odcięcie dostaw morskich przez nasze bombowce może sytuację krytyczną na froncie zamienić w klęskę.

★

— Wiele, Dick to naprawdę nadzwyczajny chłopiec! Dzień dobry, dzień dobry, nie wiem się, zaraz pędzę dalej, taka jestem zagoriona — krawcowa będzie wściekła — Boże, jak ten czas leci, już piąta!

— Trzy bez stu. Dick? Myślałem, że Bob jest tym najnadzwyczajniejszym. Skąd ta nagle zmiana?

— Bob? Och, oczywiście, jest taki przystojny i ma tyle odznaczeń, ale... Dick jest strasznie odważny. Wyobraźcie sobie, wybiera się do Tobruku!

— Jak to do Tobruku? Przecież Tobruk od dawna jest w ręku Niemców!

— A właśnie! Dick organizuje jakiś wypad czy coś podobnego — nie znam się zupełnie na tych terminach wojskowych, takie zawile. Ma ich być tylko kilkudziesięciu, wyruszają za kilka dni. Prosił, żeby mu poświęcić te ostatnie wieczory, przecież nie mogłam odmówić, na pewno zginie tam, więc... Pomyślcie tylko: sam, tysiące kilometrów stąd... Boże, już po piątej, muszę lecieć. Żeby tylko krawcowa zdążyła z tą nową suknią...

Starszy, szpakowaty, wypielęgowany pan podniósł się od stolika bridżowego.

— Bardzo was przepraszam, ale zupełnie zapomniałem, że mam spotkanie o wpół do szóstej. Marie, zastąpi mnie pani, prawda?

Po chwili był u siebie w domu — mieszkał o dwa piętra wyżej w tej samej kamienicy. Starannie zamknął drzwi, podszedł do telefonu, nakręcił numer.

— Nie, dokładnej daty nie mam. Za kilka dni, kilkudziesięciu. Oczywiście. Ciao.

★

— Co, już zamykacie, sierżancie? Mamy jeszcze moc spraw do załatwienia.

— Przykro mi Sir, zamykamy, już osma. To mój obowiązek, Sir.

— No trudno, wobec tego idziemy. Trzeba będzie to odczytać do jutra.

Dwóch młodych oficerów angielskich obaj w stopniu kapitana, wyszło z gmachu Dowództwa Środkowego Wschodu. Ogarnął ich wieczorny zgiełk ulicy kairskiej.

— Co robimy, Mac? Napilibym się czegoś. Te piękne upały dają mi się dobrze we znaki, jeszcze się nie zaklimatyzowałem.

— I ja się chętnie czegoś napiję. Jedźmy do Shepherd's'a, tam jest względnie chłodno.

— Patrz, ta w czerwonej sukni wygląda cholernie sympatycznie. Barman, jeszcze dwie whisky and soda.

— Nie w głowie mi teraz babki. Słyszysz, co mówi ten major, że w Benghazi nie ma w ogóle żadnych obozów jeńców, że są dopiero znacznie dalej na południe?

— Słyszałem. To i co z tego. Opanujemy miasto i port sami. Zresztą defence właśnie on ma mieć rację?

1) S. D. F. — Sudan Defence Force — Korpus Obrony Sudanu.

2) S. A. S. — Special Air Service — Specjalna Służba Powietrzna.

d. c. n.

Spójrzmy prawdzie w oczy

(Dokończenie ze str. 2)

3. Skąd się wzięło tyle mieszkań 1-izbowych? Przeważnie powiadają nam, spuścizna kapitalizmu — i na tym koniec. Takie określenie nie tłumaczy jednak sprawy do końca.

Czynsze mieszkalne były przed wojną znacznie wyższe niż obecnie — w stosunku do budżetu rodzinnego. Nie pozwalało to ogółowi ludności na wynajem mieszkań o większej ilości izb, a więc droższych. Stosownie do zapotrzebowania budownictwo ówczesne nawiązywało się głównie do lokali 1-izbowe. Jeszcze w 1939 roku aż 15,5% zbudowanych w Łodzi mieszkań stanowiły „1-izbówki”. Również ciasnych mieszkań dwuizbowych zbudowano w tym czasie aż 38,2%.

Dzisiaj lokal 1-izbowy nie jest nazywany „mieszkałkiem”, czyli pomieszczeniem z góry przeznaczone DLA 1 OSOBY, nie dla rodziny.

Odpowiednio też budownictwo powojenne nastawia się na realizację mieszkań, które zapewnią właśnie CAŁYM RODZINOM przyzwyczajone warunki lokalowe. W 1954 roku zbudowaliśmy w Łodzi tylko 1,1% kawalerki i aż 64,1% najbardziej poszukiwanych mieszkań 3-izbowych (2 pokoje z kuchnią). W 1955 oddano do użytku 4,3% kawalerki, a lokali 3-izbowych 59,5%. Nie trzeba chyba dodawać, że mieszkania są obecnie znacznie lepiej wyposażone,

nie ma mowy np. o budowaniu wspólnych ubikacji w klatkach schodowych.

4. Dwa i pół roku temu odwiedziłem autorów kilku listów, wysłanych z Łodzi do ówczesnej „Falii 49”. Były to skargi ludzi, mieszkających w zupełnie tragicznych warunkach. 8-osobowa rodzina, w tym czworo dzieci i chory na gruźlicę, zajmowała walące się pomieszczenie o powierzchni 20 m kw. Inna rodzina mieszkała w wilgotnej, zagryzionej piwnicy (piwnicy — nie suterenu!) Jeszcze inny skarżył się zajmował z żoną i dwójkiem dzieci składzik na drzewo, gdzie ściany nie przekraczały grubości deski...

Nie trzeba zresztą sięgać do przykładów sprzed dwu i pół lat. Przecież jeszcze dzisiaj bardzo wiele rodzin zajmuje lokale nie nadające się na mieszkania, budowane niegdyś w innym celu: strychy, piwnice, komórki, sutereny, nawet pralnie.

Trudno ustalić, ile jest w Łodzi takich pomieszczeń. Niektórzy oceniają ich liczbę na 6 tys., być może mają rację, być może też — są to nawet dane optymistyczne.

Można też przypuszczać, że jest tych „mieszkań” w Łodzi więcej niż przed wojną. Wskazuje na to WYKSZTAŁCENIE przyrostu izb zamieszkałych, niż przyrost izb budowanych. Ta różnica nie wzięła się z powietrza, ani nie powstała jako wynik dzielenia ściankami większych lokali.

Zbyt wiele jest przyczyn, które to spowodowały, nie sposób je tu wszystkie wymienić. Ale jest jedna przyczyna, która wydaje mi się decydującą.

WSZYSTKIE BEZ WYJĄTKU, STRASZNE NORY, KTÓRE ODWIEDZIŁEM W MAJU 1956, BYŁY ZAJĘTE PRZEZ LUDZI, PRZYBYŁYCH DO ŁODZI PO WOJNIE, ZE WSI.

Dotykam w tej chwili sprawy trudnej i drażliwej. Nie wolno lokatorom piwnic, suterenu i strychów odmawiać pierwszeństwa w przyznawaniu mieszkań. Zwłaszcza, że jest to kategoria ludzi najgorzej zarabiających, nie-fachowców.

Faktem jest jednak, że w okresie powojennym bardzo wiele lokali, nie nadających się na mieszkanie, zostało zajętych przez przybyszów ze wsi, w myśl archaicznej zasady „jakoś to będzie”. „Jakoś” — przeżyje, rok, dwa — a potem muszę dać mi lepsze mieszkanie”. Często byli to ludzie samotni, ale szybko znajdowali żonę, przychodzili dzieci...

5.

Sami zresztą organizowaliśmy masową wędrowkę ze wsi do miasta, rozhuśtana propaganda sypała obietnicami. Teraz płacimy za to odsetkami. Budownictwo mieszkaniowe nie nadążało za wędrowkami, wskaźnik zagęszczenia (przypomnijcie sobie, w 1946 roku wynosił 1,8 osoby na izbę) — szedł w górę, do piwnic zaś

sprowadzali się nowi lokatorzy.

Obecnie jednak ilość mieszkańów suterenu i komórki — kurozy się. Po pierwsze — zahamowany został masowy pęd do miasta ludności wiejskiej. W roku 1954 przybyło do Łodzi ok. 15 tys. osób ze wsi, w 1955 — 12,3 tysiąca, w 1956 — 6,6 tys. w 1957 — już tylko — 3 tysiące. Ta ostatnia liczba nie zostanie prawdopodobnie przekroczona w roku bieżącym.

Po drugie — zmieniła się korzystnie polityka władz kwaterunkowych. Obecnie, gdy mieszkaniac piwnicy lub pralni otrzymuje nowy przydział, lokal ten przekazuje się administracji do właściwego użytku — i w żadnym wypadku nikt tam nie zostanie w przyszłości zameldowany. Nie zdarza się więc teraz, że na miejsce ob. X-a, który dostał mieszkanie w blokach, wprowadza się do suterenu jego brat, który po dwu miesiącach zaczyna kolatać do władz kwaterunkowych...

6. Kiedy w 1956 roku odwiedziłem autorów rozpaczyliwych listów, wszędzie zastawałem dzieci. Błede, krzywiczone, zagrożone gruźlicą.

Kiedy w tym samym czasie ówczesny Wydział Kwaterunkowy mieścił się przy ul. Hutora, już wieczorem ustawiała się kolejka interesantów, którzy następnego dnia chcieli rozmawiać z naczelnikiem. Obserwowałem taką kolejkę przez całą noc. Nad ranem niektóre kobiety zniknęły na pół godziny, na godzinę, by powrócić z dzieckiem na ręku. Dziecko — kwilący argu-

ment na biurku naczelnika Wydziału...

Wbrew wszelkim pozorom przyrost naturalny w Łodzi zmniejsza się. W ciągu trzech kwartałów br. wynosił on ok. 5.400 osób, gdy w tym samym okresie 1957 — ok. 5.950, a w 1956 — 6.600. Spadek przyrostu nastąpił skutkiem zmniejszenia ilości urodzeń, a nie jako efekt zwiększonej liczby zgonów.

Przyrost zmniejsza się — to chyba dobrze, jeżeli pozostaniemy tylko w kręgu

ZMNIJSZENIE WSKAŹNIKA ZAGĘSZCZENIA, PROCENTU MIESZKAŃ JEDNOIZBOWYCH, PRZENIESIENIE DO ODPOWIEDNIH LOKALI MIESZKAŃCÓW RUDER, KOMÓREK I PIWNIC, WYRÓWNANIE PRZYROSTU NATURALNEGO ZWIĘKSZENIEM POWIERZCHNI MIESZKALNEJ —

to jeszcze nie suma potrzeb, jakie stoją przed gospodarką naszego miasta. Trzeba co roku burzyć setki budynków, których stan zagraża życiu mieszkańców (a burzymy ich mniej, niż wymagają względy bezpieczeństwa lokatorów). Co roku przybywa w Łodzi 5.000 małżeństw, które też chciałyby zamieszkać na s w o i m. Przybywają repatrianci, którym po latach tułaczki nikt nie może odmówić schronienia.

Czy budownictwo łódzkie pokrywa to całe zapotrzebowanie? Więcej, czy można liczyć na ogólną i wyraźną poprawę istniejących warunków?

NA PYTANIA TE POSTARAMY SIĘ DAĆ ODPOWIEDŹ W NASTĘPNYCH NUMERACH „ODGŁOSÓW”.



Nr 7

Korespondencyjny Kurs
Języka Plastycznego
pod redakcją
Henryka Andersa
(lekcja 6)

GUERNICA

Zdarza się Wam zapewne — o Mili Słuchacze Zaoecni — spotkać starszego pana nieutulonego w żalu nad ogólnym upadkiem sztuki. Za dawnych dobrych czasów — tak zaczyna gadkę każdy konserwatysta — sztuka służyła celom wzniosłym i szlachetnym, a dzisiaj co: generalna kłapa i powszechna mogiła.

Nie wiercie malkontentom. Nie jest dziś ani lepiej ani gorzej niż bywało. W każdej epoce można znaleźć dzieła humanitarne i zaangażowane społecznie i zawsze panoszyła się i długo jeszcze będzie się panoszyć bezideowa produkcja oportunistów. Poprawny rysunek postaci wcale jeszcze nie oznacza wyczerpania na losy człowieka — owszem malarze uroczych, gołych kobietek lub wymuskanych i upiększonych portretów byli niezmiernie czuli na ciężkie pieniądze snobów. Odwrotnie, lekceważenie zasad perspektywy i anatomii wcale się nie równa obojętności dla spraw ludzkich. Niektórzy przeciwnicy

sztuki nowoczesnej argumentują inaczej: twierdzą, że jej specyficzne środki wyrazu w ogóle nie nadają się do wypowiedzania humanistycznych treści. Zarzut tu jest równie częsty jak głośny.

W kwietniu 1937 roku, w czasie wojny domowej w Hiszpanii faszyci zbombardowali bezlitośnie Guernicę, małe miasteczko na północy, stolicę kraju Basków. Przeżyliśmy wiele nalotów i znamy ich grozę, lecz wówczas był to pierwszy w historii, niezrozumiały w swym okrucieństwie, atak bombowców na miasto; po raz pierwszy i bez ostrzeżenia zmasakrowano bezbronną ludność cywilną.

Wstrząśnięty tragedią rodaków Picasso natychmiast wystąpił z apelem przeciw zbrodniom wojennym. Zaprotestował jak malarz — obrazem. Na powszechnej wystawie w Paryżu, w tym samym 1937 roku całą ścianę pawillonu hiszpańskiego zajęło ogromne malowidło, jedno z najpotężniejszych dzieł sztuki nowoczesnej — Guernica.

Mógł Picasso pokazać w sposób fotograficzny wierny atak samolotów, zburzone domy i trupy na ulicach, mógł sposobnie nastrój luną



pożarów i dymem snującym się ciężko nad ziemią. Nie chciał, bo chodziło mu o coś więcej niż przedstawienie jednostkowego faktu. Chodziło mu o wyrażenie grozy, jaką przeżywa człowiek w obliczu barbarzyństwa, apel swój kierował nie do oczu ludzkich, lecz do sumień.

Wyrzekł się wszelkiej ładności, wszelkich efektów malarskich — obraz utrzymany jest w trzech tonach: czarnym, szarym i białym. Z ciemnego tła wylaniają się postaci polamane, straszne i nienormalne — uosobienie rozpacz, bólu i szaleństwa.

Na całą długość obrazu rozciągają się półwiartowane zwłoki wojownika. Po środku ranny koń, upiór koński, szczyrzy okropne zę-

by. Matka z przeraźliwym krzykiem unosi martwe dziecko, dwie inne kobiety miotają się oszalałe ze strachu. Jak mara senna jawi się potężny byk — symbol złych mocy. Wyciągając niepomiernie długą rękę z lamką, oświetla całą scenę i przygląda się jej z góry jeszcze jedna kobieta — być może symbol przerażonej ludzkości.

To natłoczenie figur, nagromadzenie symbolów — dla nas może tracheć niezwykłych, lecz przecież zrozumiałych — wytwarza nastrój bardziej skondensowany, silniejszy niż daje widok autentycznych zniszczeń wojennych. Oglądaliśmy już ich tyle i z wolna zacieraają się w naszej pamięci. Obrazu Picassa zapomnieć nie można.



STRÓJ NA LEKKIE PRZYMROZKI Wdzianko ala Yeti



Tygodnik Lit.-Społeczny pod redakcją Jana Huszczy
Od Redakcji

NASZ TYGODNIK, TAK DŁUGO OCZEKIWANY PRZEZ SZEROKIE RZESZE CZYTELNIKÓW, NARESZCIE ROZPOCZYNA SWÓJ SKROMNY ŻYWIOT! NIE CHCEMY WIELE OBIECYWAĆ, GDYŻ NIE JESTEŚMY ZWIĄZANI Z ŻADNYM STRONNICTWEM POLITYCZNYM, A NASZE KONTO W BANKU PRZEDSTAWIA SIĘ NA RAZIE — PODKREŚLAMY; NA RAZIE — WYJĄTKOWO NIEKORZYSTNIE WAŻNE JEST TO, IŻ — PO PRZEZWYCIEŻENIU CAŁEGO SZEREGU PRZESZKÓD — ZACZYNAJEMY UKAZYWAĆ SIĘ, NIE BIJEMY JEDNAK W FANFARY, GDYŻ WIDZIELISMY JUŻ NIEJEDNO BANKRUCTWO NAWET BARDZO CIEKAWYCH I POTRZEBNYCH POCZYNAJĄCYCH, NIEJEDEN ZASKAKUJĄCY UPADEK, NIEJEDNA PRZEMIŁAJĄCA KONWENCJĘ I MODĘ. NA POCZĄTEK STAWIAMY SOBIE CEL WYJĄTKOWO NIEPOZORNY, CHOĆ JEDNAK AMBITNY: OTO BĘDZIEMY Z UPOREM I KONSEKWENCJĄ DĄŻYĆ DO PRZEKSZTAŁCENIA PISMA „ODGŁOSY” — NA KTÓRE PATRZYMY W SPOSÓB ZDE-

CYDOWANIE KRYTYCZNY — W ZNACZNIE LEPSZE I BARDZIEJ ATRAKCYJNE PISMO CZYLI W TYGODNIK „MIESZANINY”!

Będziemy do tego dążyć przez:

- a) stopniowe rozprzestrzenianie się na pozostałych łamach;
- b) stopniowe ograniczanie zespołu „Odgłosów” do zespołu „Mieszaniny”;
- c) intensywną naukę języków obcych;
- d) śpiewanie masowych piosenek;
- e) demaskowanie zakusów;
- f) przyjazne, aczkolwiek polemiczne, stosunki z piśmie „Lunapark”;
- g) propagowanie twórczości zupełnie już dziś zapomnianego, a za życia także niedocenianego poety, Kaliksta Łasiczki...

O innych sposobach narazie zamierzamy, żeby przedwcześnie nie płoszyć przeciwników.

Czytelnicy! Od was zależy, czy zrealizujemy postawione sobie zadania... Rozpowszechniajcie „Mieszaniny”, wycinając je każdorazowo z „Odgłosów”, które prosimy traktować wyłącznie jako opakowanie naszego organu lit.-społecznego! Naprzód więc! Hen, dążmy! Albo też, jeśli kto woli: dążmy, hen!!!



KOLEŻANKI IMIENINY UCZCIJ „ŚLAĆ JEJ MIESZANINY”

JESZCZE JEDEN SUKCES POLSKIEGO PROZAIKA

Jeszcze jeden sukces polskiego prozaka! Wybitny nasz prozak Czesław Grypsik, autor powieści „Wczoraj trepanacja”, jak już donosiła prasa codzienna, od dłuższego czasu przebywa w Paryżu.

Ostatnio czołowy francuski tygodnik literacki „Les Nouvelles Littéraires” zamieścił ogłoszenie Czesława Grypsika o tym, że w okolicach placu Pigalle skradziono mu teczkę z dokumentami i rękopisami.

KALIKS ŁASICZKA

Westchnienie, dotyczące młodości (Z puścizny poetyckiej)

O, młodości ziemio słodka, gdzieś ów wieczór i dziewczyna? Gdy czyściłem zęby szczotką, lkała w parku mandolina...

Ach, gdzież prosek ów młotowy, co odświeżał ustna jamę?! Ach, gdzież wieczór ów lipcowy, co ocieniał tamtą bramę?!!!

Tragiczna śmierć rodziny pijaka

czyli
ZA WINY NIEPOPEŁNIONE



Żył pijak z dzieckiem i ze swą żoną. Gdzieś na poddaszu w miasteczku już miał naturę wykołejoną. Życie truł żonie i dziecku... (d. c. n.)

PRZEGLĄD PRASY:

Tygodnik „Wędrowiec” z 1899 roku donosi w notatce pod tytułem „Amerykański Don Juan”:

„W New-Jorku sądzono w tych dniach przed sądem przysięgłych sprawę pewnego obywatela tamtejszego, który w przeciągu trzynastu lat zaślubił 53 żony. Co dziwniejsze w tej ciekawej historii, że pierwszy raz wstąpił on w związek małżeński dopiero w czterdziestym roku życia i że nie odznacza się bynajmniej ujmującą powierzchownością, gdyż jest niskiego wzrostu, rudy i plegowaty. Pomimo braku urody, miał on niesłychane powodzenie u kobiet i zdarzało się, iż

w przeciągu jednego miesiąca po dwa razy stawał na kobiercu ślubnym. Najwierniejszym był ów Don Juan pierwszej żonie, z którą żył przykładnie 8 lat, a po jej śmierci oplakiwał ją szczerze, lecz tylko przez kilka miesięcy, a potem ożenił się powtórnie, a następnie rozwodził się i żenił się jeszcze kilkadziesiąt razy, dopóki sąd mu tego nie zabronił”.

Tyle o tej sprawie pisze doskonale redagowany tygodnik „Wędrowiec”. Ciekawe, że nasza prasa — tak czuła na ogół na zło w amerykańskich stosunkach — wcale do tego wydarzenia nie powraca!

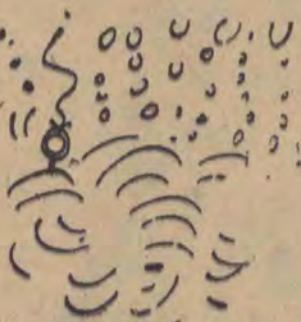


WYJNIJ - SCHOWAJ!

SENNIK Egipski

DALSZY CIĄG

- Cacko widzieć — niewinność myśli, 26, 58.
- Całujący się widzieć — oczernienie, 8, 17.
- Całun widzieć — przypadek śmierci, 35, 44.
- Capstrzyk — interesowne zajęcie, 39, 47.
- Cebulę widzieć — wiele krzywdy i obmowy, 17, 45.
- Cegły na kupie widzieć — z mowaniem miedź do czynienia, 23, 38.
- Cegła lecąca z dachu — rozczarowanie, 12, 18.
- Centuria — dolegliwości, 41.
- Cerę miedź zdrową — słabość dziecka, 38.
- Cerować — ubóstwo, 11.
- Cesarza widzieć — bliska strata, 6, 13.
- Chalastra — niestosowne towarzystwo, 83.
- Chalał — będziesz oszukany, 71.
- Chirurg — pogrzeb w domu, 34, 60.
- Chleb biały — dobry byt, 6, -6.
- Chleb jeść — honor, kupować, dobre powodzenie.
- Chlew — nieprzyzwoite towarzystwo, 17, 23.
- Chłopca gonącego się z drugimi — zle towarzystwo, 74.
- Choroba — zle zdrowie, które leczyć trzeba, 45.
- Chróst suchy zbierać — ubóstwo, 12, 15.
- Chustka biała — wesele, 11.



NAJOSTRZEJSZE OŁÓWKI SWATA JUSP

albo humor szwajcarski

Francuzi mają uroczych Zakochanych — Peyneta, Amerykanów bawią przygody Małego Króla, a Polacy śmieją się z lengronowskiego Filutka. Szwajcarzy zaś z mr Simpletona, rysowanego przez wybitnego humorystę Juspa, którego pełne imię i nazwisko brzmi Jürgen Spahr.

Spahr jest sławny dzięki historyjkom o mr Simpletonie, drukowanym systematycznie w „Die Woche”. Po cieszną figurą — ten pan Simpleton. Pewnie dlatego, że jest taki zwyczajny i przeciętny — i że przeżywa przygody, które mogą się przytrafić każdemu. Jusp pokazuje tylko takie sytuacje, które mogą się zdarzyć. Najwyżej sięga czasem do tradycji starej, ślap-ślickowej komedii filmowej, gdzie główny ładunek komizmu wynika ze złośliwości przed-

miotów martwych. I oczywiście — jeśli już się bawimy we „wplywologię” można się dopatrzeć pewnego podobieństwa między przygodami Simpletona — a kłopotami Agapita Krupki ze znanego cyklu rysunkowego z lat trzydziestych.

Poza serią o Simpletonie Jusp próbuje realizować żarty bardziej aluzyjne, nawet absurdałne. Zawsze jednak z żelazną konsekwencją, nie uzupełnia żartów tekstem, rysunek załatwia wszystko.

Jürgen Spahr urodził się w 1925 roku na Sycylii — rodzice jego byli Szwajcarami. Do ojczyzny powrócił krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej. Już jako 18-letni młodzieniec zaczyna systematyczną współpracę z tygodnikiem „Nebelspalter”.

J. W.



„Z przygód mr. Simpletona”



LUNAPARK



Horoskopy lunaparku

Osobnicy urodzeni pod znakiem „Strzelca” nie tylko przejawiają zamiłowanie do sportu, żeglugi, awiatyki i zakazanych napojów. Jeśli są kobietami, to odznaczają się gorącym i żywiołowym temperamentem, wyróżniają się niepoehamowanymi elagotkami do mężczyzn, jeśli zaś są mężczyznami, to powodując się w obściciu z kobietami lekkomyślną nieśmiałością. Ia-



two popadają w małżeńskie zniechęcenie i zamiłowanie do hazardu.

„Zycie nie jest koncertem życzeń”.

EROTYZM W FILMIE

(Z przyczyn technicznych dalszy ciąg pojedynku zmysłów, stoczonego przez byłego kamerdynera Bombę i byłą ordynatową Stefanę i zakończonego ukradzionym Mickiewiczowi epizodem z mrówkami, nastąpi za tydzień).

Odpowiedzi

Redakcji

O nowy repertuar dla trębacza z wieży Mariackiej. Leszek Nadedworny, Grzechynia, poczta Letownia, pisze: „Jeśli Polskie Radio z takim nakładem energii elektrycznej lansuje przebój z „Mostu na rzecę Kwa”, to, czy jego bierwszymi taktami nie warto by zastąpić przestarzałego motywu, granego przez trębacza na wieży Mariackiej? Warto i trzeba. Ale czy krakowscy wielbi-ciele Chopina, Moniuszki i muzyki organowej będą milczeć? Nie zabija trębacza? Gdzie cech miotlarzy? Błażej Kargul, Gniezno. Nie wiemy, jak uzyskać świadectwo mistrzowskie cechu miotlarzy. Nie wiemy, czy taki cech istnieje. Jeśli dziennie wykonuje Pan 75 miotel brzożowych, to imponuje. Drukujemy początek Pańskiego wiersza „Dzisiaj jest 24 listopada”.

„Czy się zgrzeje, czy nie zgrzeje, czy się przejem, czy nie przejem, zawsze przede mna księżycyca twarz błada... Trudna rada!

Lunapark redaguje Zygmunt Fijas. Listy prosimy kierować na adres „Odgłosy”, Łódź, Piotrkowska 96 z adnotacją: „Dla Lunaparku”.

Racjonalnie wykorzystaj godziny pracy biurowej!



14
grudnia

Alfreda, Izydora.

KALENDARZYK TYGODNIA

Imieniny dwójga imion Sztudyngera. Chmury, zamglenia, deszcze zmieszane ze śniegiem, takie, jakie widzicie. Temperatura, jaką odczuwacie. Woda tak samo wilgotna, jak zawsze. Pogoda albo jest, albo jej nie ma.

KĄCIK DLA ABSTYNETÓW

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że wydrukowana w poprzednim numerze lista winowajców wina już została wyczerpana. Jest ona zaledwie skromnym wyciągiem wyciągu listy. Oto kilka nowych nazwisk: Grecy bajkopisarz Ezop, jak powiada nieznan nam w tej chwili (z nazwiska autor abstenenckiego dziełka „Gościńiec pewny poczywym wydmikafiom świata tego”, „perly” w czasie wiadomych uczt „żarł a papugi drogo przepłacał”; Francuszek Rabelais, autor słynnej epopei satyrycznej „Gargantua i Pantagruel”, kilkakrotnie sukienkę duchowną zdejmował z powodu nieumiarkowanego pociągu, amerykański mistrz groteski Edgar Allan Poe niczego innego nie umiał stworzyć jak tylko chorobliwe elukubracje swej zapraczonej fantazji; Jack London przez całe życie szamotał się w pętach zgnębionego nalogu, w końcu ukojenie znalazł na dnie morza,

napisawszy na pożegnanie „Johna Barleycorna” (Jasia Jęczmiennego), tylokrrotnie wspomnianego przez poetę Wacława Mrozowskiego; wybitny poeta Gerard de Nerval kilka razy musiał szukać schronienia w miejscach łożacji; Niekrasow — tylko w stanie nietrzeźwym kazał nabijać kołcami tył swej karety, aby gawiedz nie czepiała się jej fartuchów; malarz Maurycy Utrillo w ciągu całego swego życia ani

razu za kołnierz sobie nie nalał; rzeźbiarz Ksawery Dunikowski nalał sobie pewnego razu za kołnierz, ale już nigdy potem nie powtórzył swego czynu; Janusz Minkiewicz — jak wspomina Jerzy Zaruba — edyby został zobaczony w stanie nietrzeźwym przy stole, nie leżałby w stanie nietrzeźwym — pod stołem, i nigdy by nie wyjechał do Moskwy; Julian Tuwim... Konstanty Ildefons Gałczyński...

Dalszy ciąg nastąpi.

Uwaga!!!

Podajemy prawidłowe rozwiązanie Quizu pt. „Moje włosy świadczą o moim”:

- A) Ditta
- B) Adam Mickiewicz
- C) Jan Sobieski
- D) Agapit Krupka.

Wśród nadesłanych odpowiedzi nagrody książkowe otrzymali: 1) Zdzisław Pizon Łódź, ul. Nowotki 11; 2) Z. Banaszczuk Łódź, ul. W. Bytomskiej 47; 3) Janina Krawczyk Łódź, ul. Nawrot 47.

Redaguje Zespół. © Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” © Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. © Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 3633 XII. 68. M 10.



Nowe filmy w realizacji:

MARCIN KOSTECKI

UPADEK MILIONERA

Opiewany przez poetów, uwieczniony przez setki malarzy, Kazimierz nad Wisłą nie miał szczęścia... do filmu. Trudno pojąć, dlaczego przez tyle lat po wojnie nikt nie wpadł na pomysł, by wykorzystać filmowo wspaniałą architekturę miasteczka.

No, ale w końcu wylom w tej tradycji został dokonany. Wreszcie znalazł się ktoś, kto docenił urok — i filmową przydatność nadwiślańskiego pleneru. „Dzieci z Ziemi” Kazimierza

„Fotograf” — podejmował tematykę dziecięcą. (Nb. tenże „Fotograf” — jedna z najlepszych etiud, jakie zostały kiedykolwiek nakręcone w PWSF, zyskał przed 10 laty etykietkę „filmu formalistycznego”). Tej tematyce Nasfeter pozostaje wierny w dalszych etiudach szkolnych i jako samodzielny realizator w Wytwórni Filmów Oświatowych. Tak i teraz właśnie debiutuje w pełnym metrażu fabularnym — filmem o dzieciach.

Nasfeter jest jednocześnie scenarzystą „Upadku milionera”.



odkrył dla filmu reżyser Janusz Nasfeter.

Kilka słów o reżyserze „Upadku milionera”.

Nasfeter jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Już pierwszy, zrealizowany jeszcze w czasie studiów film Nasfetera, króciutki żart



„Upadek milionera” — to film typu nowelowego. Scenariusz w pierwotnej wersji miał się składać z trzech nowel. Potem stwierdzono, że metraż filmu nie pomieści trzech części, z jednej noweli, „Kolorowe pończochy” musiał więc reżyser (z żalem) zrezygnować. Być może, że w przyszłości „Pończochy” zostaną nakręcone jako samodzielny film.

Nowela pierwsza — „Upadek milionera” — to opowieść o legendzie, jaką stwarzają dzieci z miasteczka wokół swego nowoprzybyłego rówieśnika, posiadacza glińskiej świnki z wielkim skarbem...

Nowela druga — „Karuzela” — opowiada o nie spełnionych marzeniach. Grupa chłopców marzy, aby raz wreszcie, do syta najęździć się na karuzeli. Ale malcy nie mają na to pieniędzy — więc chcą je zapracować...

Tyle o fabule filmu — przedwczesne opowiadanie całej historii jest chyba nie-



taktem wobec przyszłych widzów...

14.000 listów wpłynęło w odpowiedzi na ogłoszenia, w których zapowiedziano konkurs na odtwórców głównych ról „Milionera”. 14.000 fotografił małoletnich przejrzał realizator filmu, wypróbowano kilkudziesięciu kandydatów — zanim ustalono ostateczną obsadę. Szczególnie troskliwie dobiegano kandydatów do głównej roli pierwszej noweli. Przez ostrą selekcję zwycięzcy przeszedł 9-letni Aleksander Kornel.

W „Karuzeli” natomiast 5 chłopców gra równorzędne role.

„Upadek milionera” będzie filmem barwnym. I chyba szczęśliwym pomysłem było powierzenie wykonania zdjęć dwóm operatorom, Karolowi Chodorze i Kazimierzowi Konradowi. Dwie nowele, o odmiennej treści i atmosferze — otrzymają różnicowaną, indywidualną oprawę plastyczną. Byle tylko kopie ekranowe nie zepsuły wysiłku operatorów!

Zdjęcia do „Milionera”, rozpoczęte w lipcu w Kazimierzu — zostały już zakończone. Ostatnie sceny zrealizowano w łódzkiej atelier.

Potem montaż, udźwiękowanie... łatwo to się pisze, ale roboty jeszcze sporo. Premiera dopiero za kilka miesięcy...

TADEUSZ ZAKOWIECKI

Wałkonie

I oto na łódzkim ekranie znowu pojawia się nazwisko Federica Felliniego, autora „La Strady”, „Nocy Cabirri” i „Niebieskiego ptaka”. Tym razem jest to film pod tytułem niezbyt dźwięcznie brzmiącym w polskim tłumaczeniu — „Wałkonie”. Film wcześniejszy od wymienionych — zrealizowany w roku 1953.

„Wałkonie” zdają się być jeszcze jednym argumentem do określenia Felliniego mianem wielkiego twórcy, chociaż nie dorównują bezkonkurencyjnej „Stradzie”. Zbyt łatwe do wykazania są pewne uproszczenia osłabiające oddziaływanie filmu. Jednym uproszczeniem jest przełom wewnętrzny głównego bohatera — Fausto — pod wpływem wielkiego niepokoju o zaginioną żonę i tęgiego lania sprawionego mu przez ojca. A drugim — sylwetka szlachetna, o skłonnościach do kontemplacji — Moradi.

Trudno znaleźć odpowiedź, dlaczego Fellini każe nam wierzyć w ów przełom Fausta (a że wierzyć każe — świadczy choćby scena potwórnego spotkania z nieznajomą kobietą z kina, nawiasem mówiąc, scena spełniająca funkcję raczej pry-

mityczną, niedobra). Bardziej prawdopodobne wydaje się być przypuszczenie, że po chwilowym zmartwieniu i łzach, które skądinąd miał wylewać przy każdej okazji, Fausto będzie kontynuował swój dotychczasowy program życiowy. Ale problem rozłożenia tych akcentów, chociaż w pewnym sensie decyduje o ostatecznym kształcie dzieła, nie jest zresztą istotny — „Wałkonie” nie są przecież filmem obyczajowym. Właściwa ich treść leży głębiej, poza warstwą zewnętrzną.

„Wałkonie” mają wiele cech wspólnych z Bardemem — „Główną ulicą”. Ten sam wybór małego miasteczka, ci sami młodzieńcy trzydziestoletni z mniej więcej jednego środowiska, często te same realia i sytuacje. Ale jakkolwiek Bardem tropił w atmosferze małego miasteczka pojedyncze losy ludzkie — to Fellini próbuje określić wspólne cechy psychiki bohaterów: — świadomość, że w wieku trzydziestu lat zamykają się wszelkie perspektywy, pragnienie wykorzystania ostatniej szansy, pragnienie ucieczki od zwykłego w takim miasteczku dalszego ciągu codziennej, szarej egzystencji. I dlatego jeden z wałkonów wykorzystuje każdą okazję, aby korzystać z młodzieńczej swobody w miłości; drugi — chcąc rozpatrzeć swoje możliwości, poddaje długoletnie próby literackie decydują-

Nasza ankieta

Co sądzą o nudyzmie...

BASIA KWIATKOWSKA:

„Zastanawiam się, co by to było, gdyby pewnego razu ktoś zapukał do drzwi, a po otwarciu ujrzałabym nagich Cybulskiego i Polańskiego. Chyba parsknęłabym śmiechem! A sama uprawiam nudyzm, owszem. Codziennie 20 sek. (2 razy po 10 sek.) między zdjęciem piżamy, założeniem sukienki i vice versa...”

R. POLAŃSKI:

„Jestem zwolennikiem nudyzmu. Podoba mi się, ze względów moralnych. Ale obawiam się, że nagość, która jest piękna — po zbyt-nim oswoboju się z nią — przestanie być niespodzianką”.

Z. CYBULSKI:

1. Nudyści — ludzie kolekcjonujący nowe ubrania. Przeważnie skąpli.

2. Nudyści — ludzie w miarę odważni, w miarę znużeni, może szczęśliwi, może leniwi trochę zabawni ale przede wszystkim — wykapani.

3. Pan Bóg — stworzył Adama i Ewę nagich. Na obraz i podobieństwo swoje. A więc sam także był nagi!.. Wobec tego — niech żyje nudyzm!

4. Nudyści — to wreszcie ludzie, którzy samorzutnie rezygnują z najpiękniejszej rzeczy jaką dała Bożia: z rozpinania guzików, haftek, zatrzasków, zamków błyskawicznych itp...



cej ocenie; inny patrząc na ich klęskę — próbuje beznadziejnej ucieczki. Bawiem działalność bohaterów Felliniego kończy się klęską. Zapowiedź albo lepiej — przecucie tej klęski odczuwamy najdotkliwiej w momencie, gdy słyszymy rozpaczliwy krzyk jednego z bohaterów — w sennie odjazdu jego siostry.

Ten dawny film Felliniego oglądamy z mieszanymi uczuciami. Przeważa w nim jednakże dość osobliwa zaduma: „Wałkonie” są tematyycznie filmem dosyć nam bliskim...

LIDIA ZONN

DOM W KTÓRYM ŻYJEMY

„Dom w którym żyjemy” to film o codzienności — z jej matymi smutkami i radościami! Film o domu w najbardziej domowym i syntetycznym sensie tego słowa. Film o ludziach, którzy przyjmują życie takim jakie ono jest. Ich życie nie organizuje

historii świata, ani przełomów dziejowych, ale właśnie wbrew historii i wbrew wojnie regeneruje się, zabliznia i ciągle, niezmiennie wraca do swoich praw.

Trzeba było dużej odwagi dwóch młodych reżyserów L. Kulidżanowa i J. Segela — aby podjąć realizację takiego tematu. Scenariusz nie zawiera ani jednej „mocnej” czy efektownej sceny, ani jednego ciekawszego spięcia. Po prostu dzieci na podwórku i po prostu butelka wódki na czeszę nowonarodzonego dziecka. Lekki zawrót głowy, z rodzinnym śpiewem; a potem brudne talerze i senny młody ojciec, którego trzeba rozebrać aby położyć do łóżka. 17-letnia dziewczyna marząca o karierze aktorki i młody chłopiec, który chce być geologiem. Dalej młoda żona, która chce zostać z mężem,

bo za dużo pracuje, a ona chce mieć męża i normalny dom, a nie wielkiego człowieka i sławę.

Wystylizowane sceny tego filmu zrobione są z niewyważoną precyzją szczegółów. Reżyserzy nie zawahali się przed pokazaniem „kołchozowego” mieszkania ze wspólną kuchnią i wspólnymi drzwiami, z ciemnymi pokojami udekorowanymi ślubnym portretem. Sceny są umiejętnie kończone, bez dłużyzn i roztkliwiania się, bez taniego sentymentalizmu. Dzięki temu film wzrusza. Wzrusza swoją zwyczajnością; widz musi odnaleźć siebie na ekranie i przeżyć z bohaterami cząstkę swego życia.

gorzej — niestety — wypadły „historyczne metafory”. Kiedy trzeba było oderwać

się od sprawdzalnego świata i działać przenośnią czy skrótem, realizatorzy nie potrafili sobie z tym poradzić. Wszystko poza dotykającym życiem brzmi fałszywie. Patos staje się śmieszny, a przenośnia napuszona. Bardzo zaszkodziła tym scenom muzyka — zbyt natarczywa, zbyt jednoznaczna w nastroju. Na szczęście takich scen jest niedużo i przy świetnym wykonaniu wszystkich innych — łatwo się je zapomina. Natomiast niesposób zapomnieć zdjęć. Zdjęcia są fatalne.

Cała więc zasługa (za mimo wszystko — wysoką jakość tego filmu) przypada reżyserom. A że są jeszcze młodzi i że to jest ich drugi dopiero film, można więc śmiało wybaczyć owe niewielkie pomyłki.